Witamy Zlot Młodych Przodowników

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 1 zł — 12 stron | Warszawa, 20 lipca 1952 r. | Nr 29 (121) Rok III

Zlot Młodzieży

Pojęcia wyrazów młodzież i młodość trudno ściśle ustalić. Na ogół nazywamy młodzieżą ludzi od osiemnastego do trzydziestego roku życia. Jest to błogosławiony okres, w którym rozumna praca przynosi największą radość i najbardziej jest płodna. Ale czy można zaliczyć do dzieci osoby piętnastoletnie a niekiedy i młodsze, świadomie rozpoczynające swój życiowy start do wielkiego celu? Albo czy można nazwać starcami osoby nawet osiemdziesięcioletnie, budujące intensywnie przyszłość?

Co za rozkosz wyładować energię mięśni i umysłu w twórczość zaprojektowanego przedmiotu lub w obraz przedmiotu. Tylko rentier z okresu gnijącego kapitalizmu, ćwiczący się jedynie w spożywaniu owoców cudzej pracy, nie zrozumie i nie odczuje jej nigdy.

Toteż Zlot Warszawski jest świętem nie tylko młodzieży w utartym znaczeniu, ale młodości i młodych w ogóle całego kraju.

Były różne zbiegowiska wspominające młodość w Polsce burżuazyjnej.

Zwoływało zjazd gimnazjum klasyczne Wyrwy Dmuchowskiego, dumne, że spośród jego absolwentów w ciągu blisko ćwierćwiecza zdarzył się dyrektor znanych zakładów przemysłowych tak uzdolniony, że umiał zaspokoić wszystkie wymagania zagranicznych akcjonariuszy i trzymać w ryzach, z pomocą „granatowych i szarych", tysięczną rzeszę głodujących polskich robotników.

Zdarzały się sporadycznie zloty czcicieli maciejówki na bakier albo wyznawców św. Izydora (nie mogę ustalić, czy idzie o Izydora czy o Idziego, ale „czy Idzi czy chodzi na jedno wychodzi"): patrona żywego dobytku, legendarnie pokornego parobka „sług Bożych".

Chodziło o gloryfikację wyzysku, pochwałę bezmyślnej służalczości i zachętę do pokornego poddawania się wszelkiemu uciskowi i nędzy.

Wyobraźcie sobie kilkudziesięciu burżuazyjnych napuszonych wybrańców ze średnim i wyższym wykształceniem, dumnych ze swej „wyższości" jak klecha z władzy odpuszczania grzechów. Przedstawcie sobie kilkaset maciejówek, sterczących bezmyślnie na baczność przed historyczną maciejówką, która przykrywała bezwład myślowy i megalomanię. Popatrzcie na oszukiwanych baranów, rzymskich kirieelejsonów, śpiewających w pokorze: „U drzwi Twoich stoję, panie..." — i porównajcie z tym wszystkim wspaniałą postawę naszej „starszej i młodszej młodzieży", reprezentującej całą gospodarkę narodową, politykę, naukę i sztukę: tysiące młodych dyrektorów, doktorów, poruczników, profesorów i akademików w najbliższej przyszłości. Mamy przed sobą Mariana Domżała, górnika rębacza, ma koło trzydziestki, były partyzant. Dziś z podobną energią umacnia obronność Polski i walczy pracą o pokój, jak niedawno zdobywał wolność narodową i społeczną.

Spojrzyjcie na dwudziestopięcioletniego Antoniego Konopackiego spod Kielc. To jeden z trojga dziedziców trzymorgowego „majątku". Na Zlocie rozsadza go radość, bo uplanował z towarzyszami tysiąckrotne powiększenie puścizny po rodzicach: przoduje skutecznie w organizowaniu spółdzielni produkcyjnej swej gromady.

A oto bombardier Andrzej Głowacz, pierwszy w strzelaniu i na „kobyłce", wzorowy liniowy żołnierz z podręcznikami w kuferku i z radosnym marzeniem naśladowania generała Polski Ludowej, Świerczewskiego. Czy będzie generałem? Nie wykluczone, bo już obecnie pełni obowiązki z powagą i odpowiedzialnością generalską.

Przedstawiałbym niepotrzebnie, utytułowanych w dwudziestym piątym roku życia lekarzy, techników, chemików, ekonomistów, agronomów, biologów, astrofizyków... Należą do jednej ideologicznej kompanii z Domżałami, Konopackimi i Głowaczami.

Wszyscy sobie pomagają w pracy, wszyscy się przy tym wzajemnie uczą i wszyscy razem przekształcają się w jednolity, bezklasowy polski naród socjalistyczny.

Gorąco pozdrawiamy Zlot Warszawski, milionowe rzesze młodych budowniczych nowej Polski, przyszłość narodu polskiego, dążącego ramię przy ramieniu z wielkim Związkiem Radzieckim i wszystkimi państwami ludowymi do pokoju i wielkiej międzynarodowej wszechludzkiej kultury.

Lucjan Rudnicki

JERZY PIÓRKOWSKI

Prawdziwa uroda życia

Czy pamiętacie, Przyjaciele, w filmie „Wielki Obywatel" końcową scenę, kiedy to robociarz Kac, wierny druh zamordowanego nikczemnie Szachowa, żegna go po raz ostatni i wygłasza przemówienie nad jego trumną? Czy pamiętacie wypowiedziane przez niego słowa?

„Był on taki sam jak i my — mówi nabrzmiałym ze wzruszenia głosem Kac — tylko trochę wyższy. Miał takie same oczy jak my, tylko nieco bystrzejsze, myślał o tym samym, co i my myślimy, tylko znacznie głębiej.

O jednych mówią: umarł wielki myśliciel, o innych — umarł wielki artysta. On zaś... był obywatelem. Takim samym jak my — tylko większym. Był wielkim obywatelem".

Miał wielką wiarę, wielką miłość i wielką nienawiść. I to on nam przekazał w testamencie — wielka nienawiść do naszych wrogów, wielką wiarę w nasze zwycięstwo, wielką miłość do ludu, partii, Stalina...

Oto wzór proletariackiego bohatera — wielkiego bojownika o wyzwolenie swojego narodu, wielkiego obywatela swojej radzieckiej ojczyzny.



Szachow-Kirow był świadomym żołnierzem. Wiedział zawsze, po co i dlaczego bije się, tworzy, pracuje, znosi trudy i niedostatki, odparowuje ciosy jawnych i ukrytych wrogów. I wiedział w chwili, gdy krew zalewała mu oczy, dlaczego ginie. Działał zawsze w rozstrzygającym momencie, jak nakazywał mu jego proletariacki honor, jego sumienie, jak nakazywały mu interesy klasy, radzieckiego narodu. Całe życie swoje podporządkował świadomie sprawie rewolucji. I rewolucja dała jego postaci wielkość prawdziwą, człowieczą.

Pamiętacie, Przyjaciele, postać innego wielkiego komunisty — Jerzego Dymitrowa — bohatera procesu lipskiego o podpalenie Reichstagu — tej pierwszej, wielkiej prowokacji hitlerowskiego imperializmu, od której Hitler i jego zbójeckie kohorty rozpoczęli swoją robotę mordowania uczciwych i prawych ludzi — więżąc i katując komunistów niemieckich.

W owych dniach młody komunista bułgarski walczył nieustraszenie przed sprzedajnym trybunałem, demaskując okrucieństwo i zbrodnie hitleryzmu, rąbiąc prawdę w oczy Goebelsowi i Goeringowi.

Cały świat z zapartym tchem patrzył na ów gigantyczny pojedynek. I wszyscy uczciwi ludzie odetchnęli z ulgą i raźniej spojrzeli w przyszłość, gdy samotny, bezbronny człowiek nie uląkł się błysku katowskiego topora i zdemaskował wobec wszystkich całą obłudę, zbrodniczość i podłość tej imperialistycznej forpoczty.

Jerzy Dymitrow tak opowiadał później o owych dniach śmiertelnych zapasów:

„To prawda, że przed trybunałem walczyłem do końca w sposób zaczepny, konsekwentny i bezwzględny. Mówicie o odwadze, o bohaterskiej postawie przed trybunałem. Widzicie — nie bać się śmierci, to cecha komunizmu — rewolucyjnego proletariatu, bolszewików!"

Takich to ludzi-komunistów wychowuje rewolucyjna partia.

Nie są to średniowieczni asceci ze wzrokiem wbitym w ziemię, a pychą i samolubstwem pod habitem czy zbroją, ale ludzie każdym nerwem, każdym oddechem czujący radość życia i umiejący żyć: znający całą jego urodę i prawdziwe piękno. I właśnie w imię tej radości życia, w imię przyszłości, wyłaniającej się dla nich wiadomymi kształtami — bez zwątpienia, bez żalu idący choćby do kresu swoich dni.

Komunista Juliusz Fuczik, storturowany straszliwie przez Gestapo, na więziennym barłogu pisał w swym pamiętniku: „Kochałem życie i za jego piękno szedłem w bój. Kochałem Was, ludzie, i byłem szczęśliwy, gdyście mi odpłacali miłością. Cierpiałem, gdyście mnie nie rozumieli. Jeśli kogo skrzywdziłem, niech mi przebaczy... Jeśli sądzicie, że płacz zmyje smutny pył tęsknoty, zapłaczcie przez chwilę. Ale nie żałujcie. Żyłem dla radości i umieram dla radości, i byłoby krzywdą, gdybyście mi na grobie postawili anioła żalu"...

Tak pisał człowiek-komunista, którego jedyną bronią wobec wroga było — milczenie.

Ale Juliusz Fuczik wiedział jednocześnie dobrze, iż „robotnik jest śmiertelny, ale praca jego — żywa". I dlatego dochował wierności sprawie.

Nie bali się śmierci, robili zawsze swoje — co należało czynić w imię dobra proletariatu, w imię szczęścia narodów — i ludzie polskiej rewolucji, jej wielcy żołnierze i obywatele: robotnicy, chłopi, intelektualiści, studenci. Gołowąsy — jak Antek Rosół, dojrzali mężczyźni — jak Marian Buczek, szeregowi — jak Kniewski i Rutkowski, płomienni trybuni — jak Waryński czy Dzierżyński. Idący w imię życia — na śmierć, w imię szczęścia — na cierpienie...

*

Ciężko wlokły się dni i miesiące w Warszawie na samym schyłku dziewiętnastego wieku. Łazienki dziwnie wcze-

(Dokończenie na str. 2-ej).



MDM gotów!

rys. Karol Zarski

TADEUSZ KUBIAK

LIST PISANY W CZERWCU

Koleżankom i kolegom z ZMP — delegatom na Zlot w Warszawie.

Majo, korespondentko wiejska
ze wsi z puszczy kurpiowskiej,
piszę do Ciebie z Warszawy.
To list prawie miłosny.

*

O, miasto, miasto na piaskach
Mazowsza, lśniące jak perła.
Chmurą cię zakryć nie mogli.
Zła przemoc cię nie ugięła.

I nie zdołały rozdziobać
ciebie ni kruki, ni wrony.
Tyś było nam polem walki
tak samo często jak domem.

To w tobie na Mokotowie
jest pewna uliczka wyznań,
uliczka szeptów i marzeń.
A dalej — pola. Ojczyzna.

*

Ulica nazwana imieniem
poety z lat romantyzmu.
Tu my romantycznie płomienni
Zrastamy się co dzień z Ojczyzną.

Tu my romantycznie płomienni
piętra domów ważymy na dłoni.
Bokiem kasztany i klony.
A obok drzewa jabłoni.

Przed chwilą deszcz przeszedł niebem,
jak to zwykle w miesiącu czerwcu.
Teraz tylko wiatr mokotowski
jak smyczek przeciąga po sercu.

Chłopak w wieku młodych jabłoni,
tych, co głowy muska nam dotyk,
pokazuje puste zagony —
„Tutaj staną nasze namioty.

Tutaj zewsząd przyjdziemy. Zmierzchem
chodzić z sobą będziemy tędy."
O, uliczko szeptów i westchnień
o imieniu romantycznego poety.

*

Uliczko, uliczko warszawska.
O, miasto, jak Wisła — polskie.
To o nim piszę do ciebie,
dziewczyno z puszczy kurpiowskiej.

Majo, wiejska korespondentko,
której dwakroć zmowa kułacka
nienawiścią w oczy świeciła,
jak zły księżyc sosnom na piaskach.

Więc dlatego do ciebie o niej
piszę — o tej uliczce westchnień.
Pomyśl o niej, gdy myśli ciężkie
od trosk dziennych w dom niesiesz zmierzchem

Kiedy pracy codziennej odpływ,
kiedy marzeń i tęsknot przypływ,
jak ogromne i piękne morze
szumi w sadzie po dniu pełnym bitwy.

To tu wreszcie w słońcu lipcowym
omówimy, co sercem piszesz,
twe raporty z pierwszej linii walki
o jutro wsi sercu najbliższej.

*

Wiem, że cham uzbrojony po zęby,
wilczy praszczur z innej planety,
chciałby zabrać nam tę uliczkę
o imieniu polskiego poety.

Chciałby stanąć wśród drzew zwalonych,
skamracony ze wszelką szują.
Wiesz — dla takich jest miejsce na ziemi,
gdzie pieprz rośnie i raki zimują.

*

Tutaj staną nasze namioty.
Tutaj zewsząd przyjdziemy. Zmierzchem
chodzić z sobą będziemy tędy.
O, uliczko szeptów i westchnień.

Majo, wiejska korespondentko,
trzeba bić się, bić się, zwyciężyć.
Aby na tej uliczce w lipcu
w oczy dobry nam zajrzał księżyc

w moim mieście, w mieście na piaskach
Mazowsza lśniącym jak perła.
Niechaj miasto to ci cię przyśni,
gdybyś z listem w ręku zasnęła.

PRAWDZIWA URODA ŻYCIA

(Dokończenie ze str. 1-szej)

śnie opustoszały z ludzi i z liści na drzewach. Ale jeszcze bardziej pusto i głucho było w niejednej robotniczej duszy, w niektórym mocno zdesperowanym sercu. Oto po aresztach 1895-96 rozbito rewolucyjne grupy robotnicze. Przestała napływać bibuła, przestali przybywać emisariusze z zagranicy. Zdawało się pozornie, że na dłużej zamrze poważniejsza konspiracyjna robota. Dogadzało to ludziom małej wiary, gdy do oczu zajrzało więzienie czy sybirska zsyłka, upadali na duchu. Inni, choć po dawnemu pełni chęci do pracy, przecież strzygli podejrzliwie na każdego oczyma, obawiali się nowego prowokatora i zdrajcy. Jeszcze inni oglądali się jeden na drugiego, uspokojeni w swym sumieniu bezczynnością i bezradnością drugich.

I właśnie wówczas począł nad uchem ospałych, zgnuśniałych czy zastraszonych wzywać o posłuch młodziutki tenorek szczupłego chłopaka o zawziętej twarzy i kipiących życiem oczach. Starsi zrazu pochrząkiwali gorsząco, potem jęli młokosowi przypinać łatki:

A to, że mleko jeszcze pod nosem, a to znowu, że jeszcze od ziemi nie odrósł... Ale młody robociarz nic sobie nie robił z owych docinków, a przynajmniej nie dawał tego poznać po sobie. Jeszcze zapalczywiej jakby, jeszcze goręcej dowodził swojej prawdy, a nierzadko, bywało, w pasji w stół bił pięściami aż huczało. Rychło więc i malkontenci, radzi nie radzi, poczęli jeden za drugim milknąć i przysłuchiwać się rozognionemu chłopakowi, który mówił im w oczy:

— Wszyscy biedolicie i krzyczycie — wszyscy psioczycie, że nie macie prawdziwie rewolucyjnej partii, że do PPS-u iść nie chcecie, że pragniecie nareszcie prawdziwie walczyć z kapitalistycznymi pijawkami. A jak przychodzi co do czego, to oglądacie się jeden na drugiego i przestępujecie z nogi na nogę jak pensjonarki.

— Na kogo czekacie? Kogo wypatrujecie? Kto jest partią, jeśli nie my przede wszystkim — nasze mózgi, nasze ręce. Trzeba się samemu wziąć za robotę, a potem dopiero mamy prawo patrzyć na ręce innych.

— Precz z bezczynnością — to jest nasz największy wróg, gorszy od Kozaków.

— Precz z gnuśnością — to jest właśnie nasz największy prowokator. Ona nas uśpi i wyprowadzi na takie bezdroża, z których możemy już nie odnaleźć rewolucyjnej drogi.

— Precz z lękiem — oto nasz największy zdrajca, niemało już kosztował nas ofiar. Jeśli ktoś kryje w sercu tego gada, a nie potrafi go zabić, niech idzie precz, na stronę, a nie przeszkadza innym i nie szkodzi sprawie.

Tak perorował młodziutki robociarz, osiemnastoletni Antek Rosół, który dotąd oficjalnie nie był członkiem robotniczej organizacji. Ale Antek był synem starego Jana Rosoła — zawziętego, nieugiętego robociarza, czerwonego powstańca z 1863 roku, towarzysza walk Ludwika Waryńskiego. Stary Rosół nienawidził śmiertelnie tchórzy i dwulicowców, którzy na dźwięk żandarmskich ostróg dostawali wypieków na twarzy, pokornie kark uginali przed każdym, w którego kieszeniach dźwięczały ruble.

Kochał za to całą duszą robotniczą sprawę i jej partię — ową nienawiść i miłość wszczepił do serca synowi.

Gorące słowa, poparte usilną pracą i bojowością, znalazły szybko odzew. Antek Rosół stworzył kółko samokształcenia z grupy najbardziej zapalonych towarzyszy. Chwytali oni łapczywie rewolucyjną literaturę i prasę. Wspólnie ją czytali, wspólnie sobie wyjaśniali, jak tylko umieli. Antek Rosół marzył, że w ten sposób wykształci agitatorów, którzy pójdą do fabryk i warsztatów, skupią wokół siebie masy robotnicze, pragnące walczyć dla sprawy — odbudują silną i potężną partię.

Tak rozpoczynał swoją robotę w partii Antek Rosół. Szybko też wpadł. Ale partia dzięki niemu, dzięki wielkiej energii, wielkiemu talentowi organizatorskiemu przybyłego tymczasem do Warszawy Feliksa Dzierżyńskiego — stanęła mocno na nogi. Była w tym wielka zasługa i Antka. Szedł on za przykładem Feliksa tam wszędzie, gdzie zbierali się robotnicy, gdzie pracowali bezlitośnie wyzyskiwani, po 12 — 14 godzin dziennie, gdzie wstępowali na kufel piwa lub bawili się, rzadko, ale z sercem — na uroczystościach rodzinnych, wśród przyjaciół.

Antek był tam wszędzie. Weselił się razem z ludźmi, razem z nimi zaciskał pięści na pryncypałów-psubratów, śpiewał, przekomarzał się, pełen zawsze żartów, facecji, i mówił, mówił cierpliwie, nieustannie, przy każdej nadarzającej się okazji — słowa prawdy.

„Astronoma" (Feliksa Dzierżyńskiego) i Antka wzięli jednocześnie. Bolesne były to dni i tygodnie dla Antka i całej jego rodziny, którą przecież bardzo kochał. Starszy brat przebywał jeszcze wówczas w więzieniu, matka z dnia na dzień wyczekiwała na wyrok, ojciec ledwo co powrócił z dalekiego wygnania. Pięć lat spędził wśród lodów, wichrów i śnieżyc archangielskich.

Więzienie nie załamało Antka. Wiedział on doskonale, że więzienie albo zsyłka była i dla jego poprzedników — uniwersytetem rewolucji. Tutaj mógł pogłębić swoją wiedzę, uzupełnić wiadomości. Dziwna była to co prawda uczelnia, gdzie pulpit zastępował więzienny barłóg, a słoneczne okna — więzienna krata. Gdzie co dzień zaglądał do oczu głód. Antek i tutaj nie tracił fasonu: zawsze pełen humoru, rozśpiewany, czupurny. Nie potrafiły zgiąć mu karku carskie stupajki. Kiedy na jednym z nielicznych więziennych widzeń żandarm kazał mu mówić po rosyjsku, Antek z miejsca odpowiedział mu gwałtownie i wyrzucił ze swej celi. Takim ogniem błysnęły przy tym oczy młodego robociarza, że żandarm, ogłupiały, poszedł jak zmyty. Ale jak każdy podły człowiek poczuł tchórzliwą nienawiść.

Antka postanowiono złamać, a jeśli to się nie uda — zabić. Tak, zabić bez wyroku sądowego, bez kuli czy stryczka. Cichaczem, ukradkiem. Wrzucono go do maleńkiej, ciemnej celi. Zabrano mu książki, zabierano mu na dzień pościel, aby nie mógł w ciągu dnia odpoczywać. Jedzenie było coraz gorsze. Antek przy tym nie miał grosza przy duszy. Wieczorami często siedział samotnie w ciemnościach. Drżał z zimna. Ze ścian lała się bezustannie woda, od kamiennej posadzki ciągnęło przenikliwe zimno. Ale Antek, choć wyostrzyła mu się twarz, choć oczy zapadły w gorączce, pozostał taki sam — nieprzejednany. Słabsze tylko okazało się ciało. Dostał gruźlicy płuc i nogi.

Towarzysze z cel sąsiednich podnosili krzyk. Dzierżyński raz i drugi skoczył naczelnikowi do oczu. Stupajka się uląkł, a może, nastraszony, w swoim sumieniu chciał zatrzeć ślady dokonanej zbrodni. Antka przeniesiono razem z Dzierżyńskim do siedleckiego więzienia. Ale tutaj, mimo całego poświęcenia Feliksa, gasł w oczach. Gasło jednak znów tylko ciało.

Posmutniał tylko może nieco, lecz nie tracił wiary, choć warunki znów były ciężkie i stan jego zdrowia pogarszał się z dnia na dzień. Wówczas to lekarz więzienny obejrzawszy jego nogę, będącą jedną straszliwą raną, stwierdził konieczność jej amputacji. Nie przeczuwali towarzysze więzienni, co się za tym doktorskim zamiarem kryło.

Nie spodziewali się takiej podłości człowieka wobec człowieka, choć znali dobrze carskich urzędników. Dopiero kiedy Antka po operacji owej, bez kropli krwi na twarzy, wniesiono na powrót do celi, wszyscy wzdrygnęli się z nienawiści i grozy. Antkowi zrobiono operację w iście rzeźniczy sposób — jak toporem.

Stracono wówczas resztki nadziei. I Antek zrozumiał, co go niedługo czeka. A przecież godzinami całymi marzył. Myślę, że po marzeniach głębiej i doskonalej poznajemy ludzi, aniżeli po przeczytanych przez nich książkach.

A o czym marzył Antek? O życiu... Antek nie bał się śmierci. Ale odczuwał wielki żal w sercu, że tak mało w życiu swoim zrobił, że tak krótko służył robotniczej sprawie. Do końca więc uporczywie przynajmniej marzył o tym, co będzie robił po wyjściu z więzienia, jakże teraz mądrzejszy i silniejszy, zahartowany w więziennej próbie. Owe marzenia nie były wcale ucieczką od przeraźliwej rzeczywistości.

„Jeśli umrę — mawiał niekiedy — to trudno".

I wówczas to, gdy już ofiara dogorywała, zastukała do drzwi więziennej celi — łaska carska. Matka, wygnana do Kowna, odebrała umierającego syna. Zamiast młodego, radosnego mężczyzny przyniosła do swej izdebki nieco umęczonej i ropiejącej kości i skóry. A przecież i w tym suchym jak wiór półtrupie kołatało ciągle nieugięte serce, w głowie ciągle żyła myśl. Antek do końca marzył o pracy partyjnej, o przyjaciołach, o promiennym jutrze. Nie wypowiedział ani jednego słowa rozgoryczenia, bólu czy żalu. Ostatnie jego słowa były:

„Niech żyje Socjaldemokratyczny Związek Robotniczy! Przekleństwo carskiemu rządowi!"

„Marzenia ludzi tworzą historię" — pisał w ostatnim liście przed rozstrzelaniem młody komunista francuski. Tak, marzenie Antka Rosoła, jego postać, to kawał historii nas wszystkich, którzy żyjemy, uczymy się i trwamy.

Antek Rosół wytrzymał próbę wielu miesięcy, lat całych. Rósł i rozwijał się pod opieką wytrawnego ogrodnika robotniczej roli — swojego ojca. A przecież zdarza się, że bohater objawia się nagle. Godzina próby oświetla go jak błyskawica.

Błyskawica niknie na czarnym niebie, a postać wywołana jej blaskiem z ludzkiego tłumu pozostaje w srebrnym migocie ludzkiej pamięci i miłości.

*

Antek Rosół, Kniewski, Rutkowski. Tacy jak każdy z nas, tylko trochę więksi... A przecież są to nazwiska wzięte pierwsze z brzegu. Przecież takich jak oni były dziesiątki, setki. Tysiące zaś pozostały w cieniu — szerzej nieznanych.

Zginęli młodo, jakże młodo.

Rosół miał lat 20, Rutkowski 22, Kniewski 23...

Czy chcieli żyć?

Chcieli. Chcieli cieszyć się, kochać, pracować, uczyć. Marzyli o lepszych, szczęśliwszych dniach. Kochali śpiew ptaków, zieleń drzew, blask słońca...

Czy żałowali swego życia, czy chcieli się uchronić przed kruczym widmem zagłady?

Nie. Nikt z nich nie załamał się w dniach więziennych katuszy ani też wówczas, gdy do oczu zajrzała czeluść luf egzekucyjnego plutonu.

Dlaczego? Każdy z nich miał na to pytanie jedną odpowiedź. Taką samą, jaką miał bohater wszystkim drogi i bliski — Pawka Korczagin w powieści Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal".

„Najdroższą dla człowieka rzeczą jest życie. Dane jest raz człowiekowi i trzeba je przeżyć tak, aby nie płonąć ze wstydu za lata bez celu, aby nie palił nas wstyd za plugawą i nędzną przeszłość i aby można było powiedzieć umierając: całe życie, całe swoje siły oddałem rzeczy najpiękniejszej na świecie — walce o wyzwolenie ludzkości".

*

Czy czujesz i rozumiesz tam wszędzie, gdzie jesteś: w hucie i kopalni, w dalekiej wiosce i w warszawskiej szkole, wzlatujący w powietrze i idący w głąb ziemi — że naród twój, że ty sam masz nowe życie?

Że praca twoja, że każdy dzień twój, pełen wyrzeczeń codziennych i trudności — to wielka sprawa nie tylko dla ciebie, dla twego narodu, ale dla przyszłości całej ludzkości?

Młody hutniku, udał się tobie jeszcze jeden szybkościowy wytop stali. Właśnie ocierasz pot z czoła — masz dosyć na dzisiaj, a przecież musisz zastąpić chorego kolegę z drugiej zmiany...

Młody lekarzu, uratowałeś w nocy życie jeszcze jednego dziecka. Teraz o świcie jesteś śmiertelnie znużony. Chcesz wreszcie dojść do łóżka i paść na nie — a oto brzęczy dzwonek i wzywają cię do rodzącej kobiety...

Młody chłopie, nie zmrużyłeś oka przez noc całą. Nieoczekiwanie dopadł przymrozek — i musiałeś okrywać matami i papierem warzywa. Chuchałeś z rozpaczy w martwiejące liście, biegałeś na pola z głuchym niepokojem w sercu: czy obrodzi?

Czy nie dostrzegasz, nie widzisz, że w twej codziennej bieganinie, nieustępliwej pracy, walce o to, aby iść do przodu, jest wielki sens? Że w codziennym dniu leży ruda kruszcu, z którego wytapia się szlachetny metal bohaterstwa?

Pomyśl, komu i czemu służy twoja praca?

Dla kogo przezwyciężasz zmęczenie, idziesz w deszcz i mróz, niepokoisz się i trapisz nieraz...

Pomyśl, jak wielka to i porywająca walka — z samym sobą, ze swoimi słabościami, z lękiem, z wygodnictwem.

Pomyśl, że każda twoja wygrana nad samym sobą, to początek zrozumienia tego, co nas w życiu otacza.

Zrozumiesz wtedy, że świat, choćby przydymiony, zabity deskami, jest piękny, bo ty tam żyjesz, walczysz, pracujesz.

Ty, na którego liczy twoja ojczyzna, któremu ufa władza ludowa.

Spojrzyj na świat, jakim on jest: w ruchu ciągłym, w walce zażartej na śmierć i życie. Czy dostrzegasz teraz, jakiej barwy i rumieńców nabrało twoje życie? Jak prawdziwe są twoje niepowodzenia i zwycięstwa? Jak wielkie — miłości i nienawiści?

Rozumiesz, gdzie jest twoje miejsce w wielkim świecie naszej wielkiej budowy?

Rozumiesz — a więc chcesz być prawdziwym bohaterem naszych czasów.

Jerzy Piórkowski

ANTONI SŁONIMSKI

NA ZLOT

Są jeszcze nieodkryte lądy,
Nieznane wyspy i atole,
Piękniejsze od tych, które Verne
Opisał kiedyś i Jack London.
Pod chmur skłębionych niskim stropem
Są delty nie nazwanych rzek,
Gdzie diamentowe świecą pola,
Są szczyty górskie niezdobyte,
Gdzie nie postała ludzka stopa,
Lecz gdzież jest mapa i busola,
Co pośród ścieżek rozmaitych
Tej jednej drogi wskaże bieg?

Twój czas, twój wiek jest tą busolą,
Bo jest twa młodość rówieśnicą
Zwycięskiej wiosny socjalizmu,
Który wydziera tajemnice
Natury wrogiej i ujarzmia
Nieokiełznane siły świata.
Socjalizm, pokój, wiedza ścisła
Wskazuje lądy nieodkryte,
Piękniejsze wyspy i atole
I w przestrzeń gwiezdną śmielej mierzy
Od wszystkich wzlotów romantycznych
Z wierszy i książek dla młodzieży.

Bo świat od krzywdy wyzwolony,
Świat bratnich serc i myśli czystych,
Tą najpiękniejszą jest przygodą,
Co nas przez mrocznych skał kaniony
Wiedzie na szczyty gór strzelistych,
Skąd widać całą ziemię młodą.

Jak kamień oczyszczony z ziemi,
Gdy go już proch i pył nie brudzi,
Słońce odbija w swoim blysku,
Tak świat bez wojen i wyzysku,
Ten świat, o który walczył Lenin,
Skarby odnajdzie w sercach ludzi,
Kiedy nareszcie to co nowe
W starym zwycięży środowisku
I zło odwieczne w dobro zmieni.

JADWIGA ŻYLIŃSKA

ŚWIADKOWIE WIELKIEJ PRZYGODY

Przeczytałam kiedyś w notatkach kroniki średniowiecznej, że aby wrazić w pamięć ludzką jakiś szczególnie ważny wypadek, baronowie ściągali młódź okoliczną i poddawali ją chłoście. Ta metoda, zgoła cudaczna, gdyby nie była tak potworna, czyniła z obojętnych widzów żarliwych świadków danego faktu o lokalnym czy historycznym znaczeniu; wiązała ich z ową sprawą niezapartym wspomnieniem nienawiści. Ale istnieje inny jeszcze sposób związania człowieka ze sprawą, nie mniej pewny od nienawiści, a jest nią miłość. I dlatego, gdyby mnie ktoś zapytał, jaki jest ostateczny sens Zlotu Młodzieży w stolicy Polski, odpowiedziałabym chyba, że umocnienie więzów miłości między młodzieżą a tym wszystkim, co mieści się w słowie ojczyzna. Albowiem młodzież, która przyciągnie ze wszystkich stron Polski, z fabrycznych miast, z nowoczesnych portów, z zagubionych wśród borów wiosek, z prowincjonalnych miasteczek i zrujnowanych historycznych grodów, to nie tylko nieuprzedzeni świadkowie tej niezwykłej w historii przygody, jaką stanowi odbudowa i przebudowa naszego kraju, lecz jego przyszli gospodarze.

O tym, że Polska się odbudowuje, wie każdy z gazet, z kina, z radia. Lecz wszystko to dzieje się na tysiącu odcinków jednocześnie, krok za krokiem, z wielkim trudem i mozołem, tak, że nie zawsze i nie wszędzie jest dostrzegalne. Istnieją takie zakątki, takie połacie kraju, w których o odbudowie wie się niewiele, nie ogarnia się w pełni jej perspektyw. Jest jednak takie miejsce, w którym cały ten proces przebiega w sposób szczególnie wyrazisty. To Warszawa. Być może za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt ruiny Warszawy staną się, jak tyle innych niedobrych rekwizytów przeszłości, tylko złowrogim wspomnieniem. Lecz dziś jest pora po temu, by młodzieży polskiej ukazać cały patos i romantyzm tego przedsięwzięcia, jakim jest wskrzeszenie naszej stolicy, która miała być starta z mapy Europy.

Ale stolice nie powstawały z przypadku ani drogą decyzji z góry powziętej. Powstawały tam, gdzie krzyżowały się naturalne szlaki handlowe, nad brzegiem morza, przy spławnej rzece. I nie od razu były miastami. Zaczęło się od targowiska, na które ludzie przynosili skóry i mięsiwo, a handlarze rozkładali stragany z zamorskimi towarami. I zaraz na początku wykopywano wspólną studnię, gdzie każdy mógł zaczerpnąć wody. Miasto było pierwszą wspólną własnością. Z czasem obrosło historią i legendą, a ludzie przywiązywali się do niego nie mniej niż do ziemi rodzinnej. I dlatego, ażeby stolicę zmieść z mapy świata, nie wystarczy spalić jej zamki, zburzyć domy i zatruć studnie. Trzeba by wymordować tych wszystkich, którzy zamieszkiwali domy, bronili murów miasta i chodzili z dzbankami po wodę. Dopóki oni żyją, można mieć pewność, że wrócą i zaczną od początku.

Nie jest rzeczą przypadku, że Zlot Młodzieży odbywa się właśnie w stolicy. Gdyż Warszawa zawiera w skrócie obraz tego wszystkiego, co składa się na naszą obecną rzeczywistość: wielką tradycję i niepowstrzymany pęd do zbudowania nowej, szczęśliwej przyszłości. Odpowiedzialność za to dziedzictwo przejdzie z kolei na następne pokolenia, które poprowadzą dzieło budowy dalej. Ale gwarancję trwałości i ciągłości tego zadania daje tylko umiłowanie sprawy, która musi być wspólna całemu narodowi. I w imię tej wspólnej sprawy Warszawa wita z miłością i nadzieją przedstawicieli młodzieży z całej Polski.

Jadwiga Żylińska



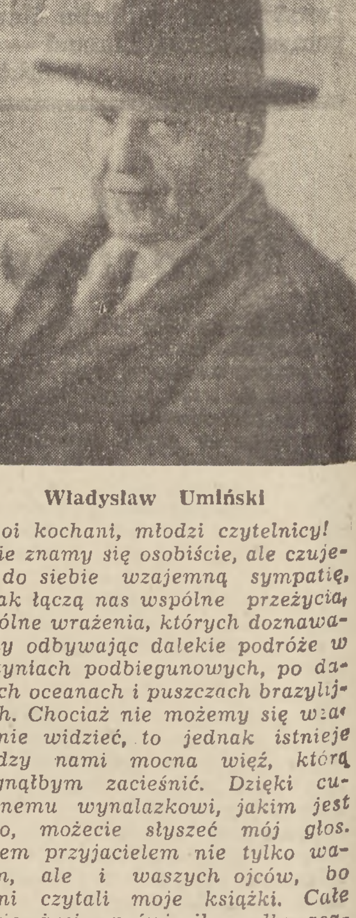
rys. Ibis

— Nic z tego. Trzeba będzie użyć samolotu, żeby objąć ich wszystkich.

WŁADYSŁAW UMIŃSKI

Niech spełnią się wasze marzenia

Najstarszy z żyjących pisarzy polskich, znany autor książek dla młodzieży Władysław Umiński, którego siedemdziesięciolecie pracy twórczej obchodziliśmy niedawno, w dniach czerwcowego Plenum ZLP, wygłosił przed mikrofonem Polskiego Radia następujące przemówienie w związku ze Zlotem Młodych Przodowników, Budowniczych Polski ludowej:



Władysław Umiński

Moi kochani, młodzi czytelnicy! Nie znamy się osobiście, ale czujemy do siebie wzajemną sympatię, wszak łączą nas wspólne przeżycia, wspólne wrażenia, których doznawaliśmy odbywając dalekie podróże w pustyniach podbiegunowych, po dalekich oceanach i puszczach brazylijskich. Chociaż nie możemy się wzajemnie widzieć, to jednak istnieje między nami mocna więź, którą pragnąłbym zacieśnić. Dzięki cudownemu wynalazkowi, jakim jest radio, możecie słyszeć mój głos. Jestem przyjacielem nie tylko waszym, ale i waszych ojców, bo i oni czytali moje książki. Całe długie życie poświęciłem dla rozszerzenia waszych wiadomości o pięknym świecie. A ten nasz krótki pobyt na ziemi powinniśmy wypełnić pracą dla pożytku naszego społeczeństwa i godziwą rozrywką, którą starałem się wam dawać w postaci moich książek. Ludzie, których przygody i czyny wam opisywałem, powinni być dla was przykładem, jak należy postępować, ażeby stać się dzielnymi obywatelami i wzbogacić swoje życie bohaterskimi czynami. Może niejeden spomiędzy was chciałby się dowiedzieć coś niecoś o moich własnych przeżyciach. Byłoby dużo do powiedzenia na ten temat. Powiem wam tylko, że już jako uczeń gimnazjum, w piętnastym roku życia, wydrukowałem moją pierwszą pracę. Była to nowelka p. t. „Z Korsyki". Ale redaktor ówczesnego młodzieżowego pisma nie chciał uwierzyć, że ten krótki utwór wyszedł spod pióra tak młodziutkiego chłopca. Wypłacono mi więc tylko skromne honorarium „za tłumaczenie". Ale jakże byłem, pomimo tego niesłusznego posądzenia o plagiat, dumny z otrzymanych 2 rubli z kopiejkami. Były to przecież pierwsze zarobione piórem pieniądze. Późniejsze sute honoraria za kilkakrotne wznawianie „Zwycięzców Oceanu" czy „Balonem do bieguna" nawet w przybliżeniu nie sprawiały mi takiej satysfakcji, jak owe pierwsze parę rubli.

Odbywałem służbę wojskową w Petersburgu, obecnym Leningradzie, w gwardii carskiej. Po ukończeniu jej studiowałem nauki przyrodnicze, a następnie podróżowałem, nieraz w bardzo ciężkich warunkach. Niejedną moją wycieczkę w dalsze kraje śmiało mógłbym zatytułować „Podróż bez pieniędzy", tak jak trzecią książkę moją, która ukazała się w 1896 r.

Poza tym interesowałem się także lotnictwem, które mnie pasjonowało od dzieciństwa. Napisałem pierwszą książkę na ten temat pt. „Żegluga powietrzna". Przewidziałem w niej drogi, na których niebawem rozwiązano to ważne zadanie. Pisałem w niej przed 60-ciu laty, iż kiedyś ludzie będą się uczyli latać, tak jak dziś uczą się pływać. Opisałem pierwszą podróż na szybowcu z Warszawy do Konstantynopola, a dziś odczuwam żywe zadowolenie, że te moje marzenia ziściły się jeszcze za mego życia, że potężne samoloty, tak bowiem pierwszy nazwałem maszyny latające cięższe od powietrza, przebywają oceany, że młodzież na „Jastrzębiach" uczy się tłumnie latać, że buja w obłokach wyżej aniżeli orły i kondory. Oddawajcie się pilnie temu pięknemu sportowi, który przygotowuje kadry przyszłych obrońców naszej ojczyzny. Może za lat kilkanaście wielki samolot poruszany energią atomową oderwie się od ziemi i poprzez niezmierne przestrzenie międzyplanetarne dotrze na Marsa lub Wenerę. Może właśnie jeden z was, gdy zostanie inżynierem lotniczym, wynajdzie motor umożliwiający komunikację międzyplanetarną. Może i tutaj ziszczą się za lat kilkanaście moje przewidywania. Zwłaszcza jeśli ty, młodzieży polska, swoją pracą i wysiłkiem udaremnisz usiłowania ciemnych sił imperializmu, który od tylu lat hamuje twórczy i piękny wysiłek, zmierzający do podniesienia dobrobytu i szczęścia ludzkości.

Pomimo podeszłego wieku nie ustaję w pracy pisarskiej i może jeszcze uda mi się obdarzyć was kilkoma książkami. Przesyłam wam wszystkim gorące pozdrowienia i słowa zachęty do owocnej pracy dla Odrodzonej Polski Ludowej, która taką opieką otacza młodzież i umożliwia jej korzystanie z dobrodziejstw nauki.

Władysław Umiński

PABLO NERUDA

TAM UMARŁA ŚMIERĆ

tłumaczył JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Zamieszczony niżej przekład poematu Nerudy ukazuje się w „Nowej Kulturze“ jako pierwodruk przed opublikowaniem w języku oryginału.

I

Od letniej pory bałtyckiej,
lazurowo stalowej, pełnej piany i bursztynów,
aż hen tam gdzie Karpaty wieńczą
skronie Polski
bladymi diademami Europy,
przemierzyłem tę całą ziemię
męczeństwa i narodzin
ten błam poćwiartowany,
zboża wiecznie się odradzające,
groty węglowe, i pokazywano mi
plamy zakrzepłej krwi na śniegu,
spośród łąki wygrzebywano
człowieka zasypanego w swej kuchni,
dziecko razem z jego wózeczkiem,
kwiaty rosnące na kościach matki.
Świadkiem tamtych dni
ja jestem, i czuję i śpiewam,
i zbrakło strun pozłocistych
dla mojej pieśni o tamtych czasach,
i harfa i słodycz harfy
spłonęły w pożarze świata,
lecz aby opowiadać i opiewać zmartwychwstanł
przyszedłem tutaj.
Przyjmijcie mnie
i patrzcie co dobywam ze zgniecionej ziemi,
ułamek skrzypiec, pierścionek umarły,
i zapomnienie,
weźcie to, co przynoszę,
co opiewam i opowiadam,
gdyż nie tylko krew przelana,
ruina, skarga i popioły
przychodzą dzisiaj ze mną.
Przynoszę w mojej sakwie
szary deszcz północy:
na świeże zasiewy
pada on i pada,
i chleb olbrzymi wyrasta
jak nigdy jeszcze na ziemi.
Młot uderza,
kafar się wznosi i spada,
dzwonią kamienie na budowach,
rodzi się życie,
O Polsko, o miłości moja,
o wiosno,
idziesz wraz ze mną,
abym cię pokazał,
opowiadając i opiewając
po wszystkich drogach,
że w głębokościach
głębiej niż leżą umarli
gada i śpiewa życie,
i że to jest właśnie i pieśń i opowieść,
to, czego ty mnie nauczyłaś,
Polsko, i to czego ja uczę:
wiara w życie, głębsza wiara
ponieważ z dalszych stron przybyła,
głębsza od śmierci,
wiara w człowieka, co zatryumfował
nad samym człowiekiem,
wiara w domostwo, co się mogło zrodzić
z olbrzymich popiołów,
wiara w pieśń, co mogła się rozlegać,
kiedy zabrakło już ust;
Polsko, ty nauczyłaś mnie istnieć
od nowa,
i śpiewać od nowa,
i to ja właśnie, pielgrzym z gitarą,
wyjmuję z sakwy i pokazuję śpiewając:
kwiat niezniszczalny,
i nową nadzieję,
i pogrzebane dawne cierpienia,
i odbudowę radości!

II

Przemierzyłem całą wiosnę
zieloną i płomienną
Polski,
drżały w świetle pola zbóż
w obfitości, mleko płynęło
jak rzeka biała
aż do morza,
wypływając z produkcyjnych spółdzielni,
pola, wilgotny zapach gleby,
kwiaty jak rozbłyski lazurowe
albo jak szybkie krwi rozpryski,
z zimy szerokiej wypływały sosny
powolnym ruchem okrętowych boków
dopływając do portów wiosennych,
a w dole, w cieniu pomieszanym
poziomki przyginały swe łodyżki,
powietrze było metaliczne,
nowe powietrze zmartwychwstania,
gdyż nie tylko las,
morze, ziemia,
ale i człowiek
tam zmartwychwstawał,
tam gdzie przeszedł potop krwi,
gdzie arka podziemnej walki
płynęła między trupami.
Dlatego też gwałtowna wiosna
Polski miała
smak żelazisty
dla moich ust, była
płynem naelektryzowanym,
pocałunkiem ziemi,
sercem człowieka
zanurzonym w kielichu gwiaździstym życia!

III

O Gdańsku, pogruchotany przez wojnę,
różo rozdarta,
widmo pomiędzy widmami.
Zanurzony w morskim zapachu,
w niebie białym, wysokim,
błądziłem między twymi ruinami,
pomiędzy szczątkami twymi ze srebra pomarańczowego,
mgła błądziła wraz ze mną
i lodowate powiewy
i błąkając się
niby siecią pokrywałem ulice
bez domów i bez ludzi.
O znam ja wojnę
i jej oblicze bez warg i bez oczu,
znam ja te zamarłe okna,
znam dobrze,
widziałem je w Madrycie, w Berlinie,
w Warszawie.
Jednakże ta nawa gotycka
ze swym popiołem czerwonawych cegieł
nad samym morzem, u progu
starożytnych wypraw,
ten obraz kupieckiej rufy,
na zielonej szacie chłodnych mórz,
ze swymi rozdartymi otworami,
z kikutami swych ścian,
i cała zburzona jej duma,
przeniknęły mą duszę
niby zamieć śniegu, kurzu, dymu,
oślepiając mnie, napełniając rozpaczą,
domy cechowe
ze swymi upadłymi gmerkami,
banki kędy dźwięczało złoto
wpadając do gardła Europy,
mierzeje czerwone,
dokąd rzeka
sypkich zbóż przyniosła
jak ziemska fala
zapachy lata,
wszystko stało się prochem, górami
zeschłej materii,
i wiatr żelazistego Bałtyku
hulał po pustkowiu.

IV

Jednakże życie
również tam było
w innych krainach, w innych godzinach
śmierć na mnie czyhała na rogach ulic,
tutaj czyhało życie.
Widziałem w Gdańsku życie
zaludniające ulice,
ucałowały mnie
motory stalowymi wargami,
woda poruszała się,
widziałem jak majestatycznie
przesuwały się jak zamki na wodzie
żurawie z żelaza morskiego
świeżo odbudowane,
widziałem gigantyczny
kłąb splątany
żelastwa spoczywającego na żelastwie
zbombardowanym,
który w świetle powoli, powoli
stawał się kształtem dźwigu
i jak pomału powstawał z dna śmierci
lazurowy majestat stoczni,
widziałem własnymi oczami
jak rosą pulsowała fala
wokół zmartwychwstających doków
rufy otoczone
niedawno odkopanymi ludźmi,
widziałem
jak się rodzi port
nie z wody i z ziemi
obmytej i zbadanej,
lecz z klęski,
widziałem ciebie, olbrzymi gołębiu
szafirowo-biały,
jak się rodziłeś i wzlatywałeś
pewnie i mocno
ponad zniszczeniem zagmatwanym
i ponad krwawym pustkowiem
popiołu i wichru.

V

Ku chłodnym gajom i jeziorom
zielonej północy
wody mazurskie
rozlewają się na wszystkie strony,
szerokie stawy nawiedzone
przez niebo blade,
laguny niby igły,
wszystkie łagodne zarysy wody,
pozostawione przez jakąś
rozpryskującą się gwiazdę
czy też przez księżyc zielony
kroplami spadający z góry.
Urocze tu powietrze i powiewy
czeszące najeżone grzywy
gęsto stojących sosen,
urocze tu powietrze, świeże
i błękitne pod sosnami,
widać tu nagle wiatr
i jego powiewne szaty
zrobione z tlenu i igieł,
uroczyście dmie wiatr w borze,
budzi szmery cichutkie
jak szmer spadającego listu,
jak bulgotanie butelki,
jak pękanie kamienia,
wiatr szuka chrustu
gromadzonego ojcowskimi rękami,
lub dmie i leci do góry
od drzewa do drzewa
lękiem napełniając ptaki,
uroczy jest wiatr północny,
mleczny brat śniegu
w głębinie czarnych sosen.
Idę bez kapelusza
wystawiając głowę na wiatr,
który ją wieńczy chłodem,
zimne wargi mnie kąsają,
wchodzę, wchodzę, śpiewający
w świeży powiew zieloności,
jak w głębinę oceanu,
śpiewam
i depczę trawę,
świeżo udekorowaną
małymi, żółtymi gwiazdkami.
Urocza północy szerokoramienna
jezior i sosen,
pozdrawiam ciebie,
pozwól mi się wdychać,
iść między sosny i wody
śpiewający, gwizdający,
i paść na twój wilgotny kobierzec
jak drzewo zielone co pada
wśród twoich szmerów i snów.

VI

Miłości, jeślibyś kiedy
umarła,
to ja grzebałbym
grzebałbym
w noce i we dnie
w grobowcu twoim
wstrząsnąłbym tobą,
podnosząc twe łono z prochu
usta twe uwielbiane z popiołu,
zbudowałbym na nowo
ramiona twe i twe stopy i twe oczy,
twe włosy z pokręconego metalu
i tchnąłbym w ciebie życie
miłością, która cię kocha,
i znowu bym powiódł ciebie,
pulsującą na nowo w mym ciele,
miłości, tak cię odbudowano
w stołecznym mieście Warszawie.

Slepy przybyłem do twoich popiołów,
a jednak cię szukałem,
i zwolna, zwolna podnosiłaś przede mną
gmachy łagodne twego ciała;
tak samo oni odnaleźli
w ukochanym mieście
wiatr tylko i popioły,
ułamki pomiażdżone,
zwęglone belki płaczące na deszczu,
uśmiechy kobiet przykryte śniegami,
umarła piękna, umarła,
jej okna nie istniały,
noc kładła się na białą zmarłą
a dzień oświetlał równinę.

I tak ją obudzili
miłością, choć przybyli
ślepi i płaczem płaczący,
a jednak kopali głęboko,
i zmyli szare popioły,
było już późno i ciemno,
zmęczenie spadło i śnieg,
kiedy stanęły łopaty,
albowiem grzebiący się natknęli
najpierw na głowę,
na białe piersi słodkiej nieboszczycy
i na jej szatę syrenią,
a potem na serce pod warstwą ziemi
spalone i pogrzebane, lecz żywe,
dziś życiem żywe, bijące pośrodku
odbudowania całej jej piękności.
Teraz rozumiesz jakim sposobem
miłość buduje szerokie aleje
i każe śpiewać księżycom w ogrodach,
a dzisiaj kiedy
płatek za płatkiem śnieg pada
na dachy i na mosty,
i zima puka
do wrót Warszawy,
ogień i piosnka
odżyły znowu w ogniskach domowych,
wzniesionych przez miłość na ruinach śmierci.

Ach, a tamci co uciekli i wierzą,
że umknęli razem z poezją,
nie wiedzą, że miłość została w Warszawie
i że śmierć tam poniosła porażkę,
tam gdzie rzeka przepływa,
poznając ludzi i sprawy,
dwa rosną kwiaty z zapachu i srebra,
miasto i poezja,
Warszawa i poezja,
pod jasnymi kopułami nieba
gromadzące światło, ogień i chleb swego przeznaczenia.

O! Pełna cudów, Warszawo,
serce zakopane,
znowu tętniące i wolne,
miasto, w którym spostrzegasz,
o ile człowiek jest większy
od wszystkich klęsk,
Warszawo pozwól mi przecie
dotknąć twych murów,
zbudowanych nie z drzewa, nie z kamienia,
zbudowanych z nadziei,
a ten, który pragnie dotykać nadziei,
materii trwałej i twardej,
ziemi zawziętej co śpiewa,
metalu wszelkiej odbudowy,
piasku niezniszczalnego,
zboża niewyczerpalnego,
miodu dla wszystkich wieków,
młota wiecznego,
gwiazdy zwycięskiej,
narzędzia nie do pokonania,
cementu życia,
nadziei —
niech tu jej dotknie,
niech tu poczuje w niej, jak krąży
życie i krew na nowo,
gdyż miłość to, o Warszawo,
wzniosła twój posąg syreni,
i kiedy się dotykam twych murów,
twojej świętej powłoki,
rozumiem,
że jesteś życiem i że w twoich murach
znalazła zgon wreszcie śmierć sama.

VII

A wojna tam, w głębinie
olbrzymiej puszczy,
wojna pomieszana z wodami
powolnymi i pomnożonymi,
zjawiła się, aby mi urągać,
zjawiła się przede mną teraz, kiedy
panuje pokój,
zjawiła się w tej krainie lesistej,
zaczaiła się tam,
gdzie Goering spiętrzył
swoje cementowe kuby,
w tej okropnej architekturze,
nieludzkiej, kanciastej,
z półprzymkniętymi otworami,
podobnymi do oczu płaza; nagie kształty
okrucieństwa tam się ukrywały;
w tych nowoczesnych pieczarach dzikich bestii
planowano napaści
na światło radzieckie:
tam, z tej ciemności
wyszedł atak na gwiazdę;
tam gromadzono całą odpychającą siłę;
tam zbierano czerwie i truciznę,
płomienie niszczycielskie,
planowania śmierci.
Ale już gaje przykryły
swoim cienistym splendorem
te wszystkie ohydne znaki,
jednak czyhają tam fortalicje
i skrywają się podarte armaty,
jak odgłosy straszliwego zła,
jak bezzębna gęba wojny.
Jak dzisiaj w jasnych i spokojnych salach
wojennych szkół
Ameryki Północnej
z upartą precyzją studiuje się
siłę mikrobów,
aby zrzucać je na wioski
z całą potęgą wymiotów,
aby zabijały małe dzieci,
tak pomysły podpalaczy
i morderców płodziły się
w tych grotach zanurzonych w cienistych gajach.
Ale mordercze fale rozstrzaskały się
o mur kamienny,
o jednomyślną ścianę
socjalizmu, o ciężar
pięści Stalina,
i od śnieżnego Wschodu
powrócił pokój do gajów,
a najeźdźcy, którzy stąd wyszli
nie wrócą, gdyż
świetliste powietrze
Stalingradu powiało
i poprzez lasy polskie
otwarło wrota
zakrwawionego napastnika;
i oto od tego czasu urosły
powoje w tym lesie,
woda czeka na spadające liście,
a elektryczne wiewiórki
tańcują w nowych sukienkach,
powietrze gęste tu jak napój,
napełniający czaszę ziemi,
kroki me zagłębiają się w mchu
jakbym stąpał po zapomnieniu,
kawałki chrustu
napełniają się znaczeniami,
jak skrzypce muzyka,
a liście wznoszą pajęczyny
łącząc jedno drzewo z drugim
i łatają rozdartą
ciszę lasu,
a u stóp gaju łąki
nasłuchują jak rodzi się zboże,
a dalej jak węgiel się toczy
aż ku stali,
miasta się zaludniają,
idzie człowiek,
idą ludzie,
rosną okręty,
a w nocy niebo ukazuje
Polsce napis pisany
wielkimi literami gwiazd,
który powiada: „O, ludzie
wszystkiej ziemi i wszystkiego morza
patrzcie, jak rośnie,
córa stali“
I księżyc się zaciemnia,
gdyż na pustkowiu
zwęglonego „wczoraj“
„dzisiaj“ dachami przykrywa
łagodne światła ponocne;
a wczesne słońce zaziera
do jasnych piekarni,
zadomowia się w szkołach,
a życie żyje,
człowiek buduje,
i mocne ramię głaszcze
piórka na grzbiecie gołębia.

Dobry ci dzień, Polsko!

Dobra noc, Polsko!

Spij spokojnie, kocham cię!

Dobre ci dnie i noce!

Dobre lata i wieki!

Kocham cię, Polsko, i rozstając z tobą
jedyny kwiat zabieram, a na twym czole składam
szeroki pocałunek, który przybrał kształty
wszystkich mych pocałunków: kształt pieśni!

JÓZEF KUŚMIEREK

SPOTKANIE

Wiatr zamiatał bezludne ulice. Padał drobny, zimny deszcz, taki, że odechciewało się wszystkiego. Zrezygnowałem z pójścia do stoczni, gdzie miałem zrobić sylwetki młodych przodowników pracy, dawno obiecane „Nowej Kulturze".

Szedłem do hotelu nie zwracając na nic uwagi. Z przejeżdżającego tramwaju ktoś zawołał — Panie szefie! Nie sądziłem, by to do mnie było skierowane. W Gdańsku byłem po raz pierwszy i nie miałem tu znajomych. Dopiero po przejściu paru ulic dopadł mnie młody chłopak, zdyszany biegiem, najwyraźniej cieszący się z tego spotkania. Zatrzymałem się, zły, że będę musiał gadać na tym deszczu, prawdopodobnie o rzeczach, które mnie nic a nic nie obchodzą.

— Dzień dobry, panie szefie, nie poznaje mnie pan?

Nie poznawałem. Bezsprzecznie spotkałem go kiedyś, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie, ani z niczym złączyć jego twarzy. Nie lubię takich chwil. Zawieram dziennie kilkanaście nowych znajomości, wszędzie tam, gdzie muszę jechać w redakcyjnych sprawach, a ludziom wydaje się, że powinienem ich wszystkich pamiętać. Ta młoda twarz nie łączyła mi się jednak z żadnym z reportaży, poza tym że ją kiedyś — to musiało być bardzo dawno — widziałem, nic więcej nie przypominałem sobie.

— Panie szefie, pan mnie nie poznaje?

— Nie.

Był zakłopotany, nie wiedział, co ma teraz zrobić, a ja nie miałem zamiaru wybawiać go z tego kłopotu.

— Kupował pan u mnie papierosy, „swojaki" i „Sporty", a ta pana dziewczyna w okularach, co pan z nią chodził, paliła „Ekstrapłaskie".

Papierosów kupowałem dużo i różnych, palę od dziesięciu lat... Dziewczyną w okularach mogła być moja żona, mogła być „Lena", „Grażyna", „Ola"', ale tej nie mógł wziąć za moją dziewczynę.

— Możliwe, że kupowałem, no to co?—zapytałem tak, by się odczepił.

— Na rogu Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia — podał szczegół.

Teraz dopiero przypomniałem sobie małego handlarza papierosów. Wówczas miał nie więcej niż dziesięć, dwanaście lat. Przez cały czas okupacji handlował na rogu Krakowskiego i Trębackiej. Nie było dnia, bym nie miał tam wyznaczonego spotkania i poza tym kręciłem się w tej okolicy często, bo mieszkałem w tamtych stronach. Chłopak poznawał mnie, z daleka wołał: „Panie szefie", później zorientował się w moich spotkaniach i nieraz szeptem informował: „ta pani była, ale poszła", albo „ta pani czeka w ogródku, ale niech szef uważa, bo tam taki jeden się kręci". Czekając na bibułę, skracałem sobie czas pogawędką z nim, był rozmowny, wyszczekany, bystry jak każdy warszawski handlarz. Powoli i ja orientowałem się w jego sympatiach i antypatiach, którego z konkurentów nie lubi, z którym się przyjaźni. Wiedziałem, że mała dziewczynka, która tu czasami stoi z papierosami, to jego siostra, a starsza kobieta stojąca przeważnie wieczorami i w niepogody, to ich matka. Cała ta rodzina żyła z odnajmowanego pokoju i tych papierosów. Ojciec ich, ślusarz, był w obozie jeńców. Do wojny i w ciągu pierwszych dwóch lat okupacji, dopóki matka miała jeszcze coś na sprzedaż, ukończył 5 klas szkoły. Od roku już się nie uczył, ale nie żałował przerwanej nauki. Pamiętam, że nagadałem mu raz, gdy mnie chełpliwie zapewniał: — Panie szefie, nie czas teraz na naukę — zaraz jednak dodawał ze szczerą troską w głosie — żeby choć siostra mogła skończyć szkołę...

Widywaliśmy się codziennie przez trzy lata, i zawsze pełen był dziecinnego optymizmu. Gdy ktoś długo nie przychodził, lub ja nie mogłem stawić się o umówionej porze, prosiłem go: — „powiedz temu blondynowi, że będę tu i tu, lub przyjdę jutro o tej samej godzinie". Wywiązywał się z tego sumiennie i robił to dowcipnie. Gdy ten „ktoś" nadszedł, podchodził i proponował:— „Niech pan kupi sobie „Sportów", co pan będzie ciągle tego czarnego w kurtce opalał, on zresztą i tak dzisiaj nie przyjdzie". Towarzysze strofowali mnie za to, ale ja miałem zaufanie do tej, ciągnącej się przez blisko trzy lata, prawie że przyjaźni.

Człowiek nawet nie wie, co tkwi w jego pamięci i dopiero przypadek wywołuje wspomnienia spraw, o których sądził, że są dawno zapomniane.

— Co ty tu robisz — zapytałem.

— No, nareszcie mnie szefunio poznał — ucieszył się. Nie zatracił swego dawnego słownika. — Odprowadzę szefa, dokąd szef idzie?

— Do hotelu. Chodź kawałek. Co słychać u ciebie, co porabiasz?

— Ano przeżyłem powstanie — zaczął jak każdy warszawiak, który spotyka niewidzianego od wielu lat znajomego. — Byłem na Starówce, widziałem tam paru tych, z którymi się szef spotykał, nawet z tym blondynem, co tak zawsze przeklinał, gadałem raz o panu, a tego drugiego, wysokiego, z piegami, co go przysypało, wie pan, wtedy kiedy sztab zginął, też tam spotkałem i jego siostrę, co to chodziła z tym, takim wysokim, zawsze eleganckim, no... co miał rękę taką wywichniętą..

Psiakrew, przez te trzy lata facet rozpracował całą warszawską „technikę", wszystkich znał, wszystkich pamiętał.

— Później widziałem pana we Wrocławiu, akurat jechałem tramwajem, wyskoczyłem, ale już nie mogłem pana dogonić.

— Coś ty robił we Wrocławiu?

— A tak, tego, różne rzeczy człowiek kombinował, wie pan — wszystko się spaliło, ale to niedługo. Później przyjechałem tu, do Gdańska.

— Też na szaber?

— Nie, tu już zapisałem się do szkoły, skończyłem powszechniaka, teraz jestem w liceum elektrotechnicznym, a właściwie też już skończyłem, bo został mi tylko jeden egzamin z Polski współczesnej.

— Jednak wziąłeś się do nauki.

— A co? Dosyć miałem tego wałęsania się, wszyscy koledzy z Warszawy uczyli się, a ja i tak dwa lata przefurlałem.

— Masz jakąś pracę?

— Od roku pracuję w stoczni i tam zostanę. Jestem nawet przodownikiem.

— A jak ci poszła nauka?

— Też dobrze, dostanę chyba wyróżnienie, bo wszystkie egzaminy zdałem, a z Polski współczesnej to ja, panie, taki jestem — i zgiął łokieć po warszawsku.

— A siostra?

— Siostra jest w Gdańsku, wyszła za mąż, ma dziecko.

— Ma już dziecko? — zdziwiłem się.

— Tak, bo ona jest starsza ode mnie, tylko zawsze taka drobna była i dzisiaj nie wygląda na więcej niż na osiemnaście lat. Pracuje jako ekspedientka w MHD, matka mieszka razem z nimi. No a u szefa jak leci?

— Ja mieszkam stale w Warszawie, pracuję w redakcji, niedawno napisałem książkę, teraz piszę drugą.

— A to szefa fotografia była w gazecie, no to już wiem.

— Co wiesz?

— Jak się szef nazywa, bo przecież wiedziałem, że Arnold, to było nieprawdziwe. A ten drugi kolega szefa, kaktus, czy tak jakoś, co się z nim dzieje?

— Napisał dwie książki, teraz robi film.

— A ten piegowaty?

— Jest kapitanem lotnictwa.

— A ten w kolejarskim ubraniu, w okularach?

— Skończył Akademię Nauk Politycznych, jest dyrektorem departamentu.

Szliśmy chwilę w milczeniu.

— Ja też bym się chciał dalej uczyć — ale wie pan, siostrze ciężko samej utrzymywać matkę, przy tym chciałbym, żeby skończyła jakiś kurs buchalteryjny, bo co ona, 7 klas szkoły powszechnej, a głowę do rachunków to miała zawsze... — przerwał zakłopotany, nie wiedział, jak mi powiedzieć o tym swoim marzeniu. — Bo wie szef, u nas na stoczni najlepszych robotników kierują na studia...

— A ty?

— Staram się jak mogę, może za rok się uda, ale, szefie, dużo przeżyliśmy razem, no nie?

— A no tak — przyznałem.

— Szef będzie w Warszawie w czasie Zlotu?

— Tak.

— To spotkamy się na Zlocie.

— A będziesz na Zlocie?

— No chyba. Ale ja pożegnam szefa, bo szef może czasu nie ma.

— Nie, przeciwnie, mam dużo czasu, chodź ze mną do hotelu. Pogadamy.

Gadaliśmy do wieczora, a później wyszliśmy na miasto i błądziliśmy po labiryncie gdańskich ulic mimo deszczu i gadaliśmy, gadaliśmy... Wspomnienia mieszały się nam z marzeniami o przyszłości, on opowiadał mi o swojej dziewczynie, z którą chodzi od roku, o dzieciństwie, ciężkim, beznadziejnym, tym gorszym, że cały jego ciężar już wtedy znał i rozumiał, ja mówiłem mu o swoich dwóch córkach, które rosną, o pisanej książce, o trudach i radościach swojej pracy. Dużo musieliśmy sobie naopowiadać, bo nawet nie spostrzegliśmy, kiedy minęła noc i deszcz się uspokoił. Trudno jest powtórzyć taką rozmowę, a co dopiero ją opisać.

Józef Kuśmierek

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

Wzywam was

Czy znacie bajkę o kwiecie paproci? Nie będę Wam jej opowiadać, znacie może piękniejsze, lecz wyobraźcie sobie, że zdarzyło mi się w Puszczy Piskiej, na starej ziemi Mazurskiej, spotkać zjawisko, które wydało mi się podobne do zakwitania tajemniczego kwiatu paproci. Tam lud mazurski zachował przez kilkaset lat starą polską mowę, z pokolenia na pokolenie ją przekazywał, podawał dzieciom i wnukom. Była w tym ludzie wielka miłość — w jednych świadoma, w innych nie — miłość do polskiej mowy, skoro ją niósł jak pałeczkę sztafetową przez wieki, podając ciągle młodszym razem z hasłem wierności tej mowie. Dzieląca Mazury od Polski granica nie przeszkodziła ludowi mazurskiemu mówić, myśleć i żyć w dźwięku polskiej mowy. Nawet administracja niemiecka, nawet hitlerowskie prześladowania tej mowy nie złamały; lecz uczyniły coś innego.

Mała Kundi ze wsi nad rzeką Krutynią ma tak miły uśmiech, że



Mała Kundi (w towarzystwie synów pisarki) na tle mostu na rzece Krutyni

nie mogę o niej zapomnieć. Kundi płakała, kiedyśmy po miesięcznym pobycie wyjeżdżali z domu jej babki. Rodzice jej są na Zachodzie. Cofnęli się w strefę, gdzie kult swastyki nie tylko nie osłabł, lecz ostatnio ciągle wzrasta. Do wsi mazurskiej przychodzą dla Kundi paczki, przychodzą listy, o których nie wiemy, jak głęboko drążą duszę dziewczynki. We wsi nad rzeką Krutynią nie można kupić gazet, czasopism czy książek — najbliższy kiosk „Ruchu" jest w mieście odległym o kilkanaście kilometrów. Tam Kundi prawie nigdy nie bywa. Nie czyta więc po polsku więcej, niż nakazuje szkoła. Budynek szkolny stoi nad rzeką przy moście. Każdą pauzę spędza młodzież patrząc przez bariery na wodę przepływającą po piaszczystym dnie, po brodatych wodorostach, pełną małych rybek śmigających z prądem albo pod prąd. Ale żadne dziecko w tej szkole — słuchajcie, tak, ani jedno — nie używa polskiej mowy podczas przerwy. W szkole na lekcji po polsku — lecz już na pauzie po niemiecku. Gdy idziecie ulicą wioski, słyszycie tylko niemiecki. Odezwiecie się do kogoś po polsku — rozumie wszystko i odpowiada swobodnie po polsku. Nie nauczyli się polskiego dziś — poznacie to do razu — ich mowa jest stara i ma swoje charakterystyczne cechy. Zamiast *zawsze* — mówi się tu — *zawszedy;* zamiast *rano* — *ryno.* Prócz tego staropolskie zwroty grzecznościowe: *„wasa pani matka, was pan mąż"*. Piękna przeszłość naszego języka przejawia się w mowie mazurskiej. Lecz słyszy się ją nader rzadko. Nie zagubiwszy mowy zagubiono hasło wierności wobec niej.

Kiedy się to stało? Pewno wtedy, gdy mężczyźni z mazurskiej ziemi walczyli w szeregach armii hitlerowskiej. Wielu z nich poległo. Niejeden może przed śmiercią zrozumiał bezsens własnego udziału w zbrodniczych czynach Hitlera. Lecz nie zdążył przekazać swych myśli pozostałym w domu dzieciom.

We wsi nad rzeką Krutynią przeważają starcy, kobiety i ci, którzy w 1945 r. byli dziećmi jak Kundi, a obecnie są już młodzieżą. Mężczyźni w sile wieku przechowywani są na fotografiach w scharfuehrerowskich mundurach z „gapą" i swastyką. Tak, nawet na ścianach wiszą takie fotografie „bohaterów".

— Gdzie są obecnie?

— Za Odrą — pada odpowiedź („za Odrą" znaczy niekiedy nie w NRD, lecz w Trizonii).

Mała Kundi miała pięć lat w radosnym roku 1945. Gdy rok ten ratował nas od zagłady — ona nic nie wiedziała o zagładzie. Nie ma pojęcia, co to Majdanek, Oświęcim, co to naprawdę znaczy Hitler i hitleryzm. I nie wie dotąd. A to już bardzo źle.

Do Was apeluję, przyjaciele z ZMP, i wzywam Was do czynu — my, pisarze z całej Polski, zgłosiliśmy na rozszerzonym Plenum Zarządu Głównego w dniu 21 czerwca gotowość walki z dostrzeganymi ostatnio objawami braku opieki nad młodzieżą mazurską, na naszych ziemiach. I będziemy walczyć. Będziemy pisać o ludziach i dla ludzi z tych ziem, będziemy korespondować, obejmiemy opieką poszczególne tereny, przyjedziemy w potrzebie, by wspólnie w dyskusji, w prostej rozmowie demaskować neohitleryzm. Wy nam pomożecie.

Niedaleka jest droga do wiosek nad Krutynią i nad innymi rzekami i jeziorami mazurskimi. Pamiętajcie!

Nie wzywam Was do walki z językiem niemieckim — to byłby błąd. Człowiek może znać kilka języków — byleby wyznawał słuszną ideologię.

Lecz razem z nami podejmijcie walkę o kolportaż „Ruchu" w każdej wsi, o kino, o teatr, i o światopogląd młodych.

Mała Kundi nigdy jeszcze nie widziała pociągu ani tramwaju, nie mówiąc o Trasie W—Z, Mariensztacie czy... gruzach zburzonej Warszawy. Nad złotowłosą głową jedenastoletniej Kundi wzbiera olbrzymi problem — lada dzień uświadomi ona sobie konieczność zerwania z tym wszystkim, co symbolizują rodzinne fotografie ze swastyką.

Przyjaciele z ZMP — w tak doniosłej chwili życia nie zostawimy jej samej!

Seweryna Szmaglewska

WIKTOR WOROSZYLSKI

TRAKTORZYSTA FLIS

Opisane niżej wydarzenie miało miejsce w POM-ie Myślibórz (woj. szczecińskie) w okresie podejmowania zobowiązań na cześć 60-ej rocznicy urodzin Towarzysza Bieruta. Nazwisko bohatera zmienione.

A gdy już każdy powiedział,
jak uczcić ten dzień ma zamiar, —
wstał Flis, otworzył usta...
lecz głos mu w krtani zamarł.

Pchnęły go — aż się zachwiał —
kolegów niechętne oczy.

...I znów zaszumiała w mózgu
ciemność chmielowych nocy.
I znów się zasnuł horyzont
mętnych poranków mlekiem
I w bruździe dogorywało
traktoru pudło kalekie.

Drgnął Flis, podniósł do czoła,
jakby się bronił, ramię.
A wtedy groźnym przypływem
uderzyło zebranie:

— Starczy! Jak długo jeszcze
hańbę będziemy znosić!
Nie niańczyć się z takim synem!
Dość!

Flis kulił się wśród okrzyków,
jak na ulewie kundel,
a gdy ucichło, mruknął:
— To chyba już sobie pójdę...

Lecz nie szedł.
Wtedy dyrektor
(wczorajszy ślusarz) wstał, chrząknął
i milcząc palcem sękatym
pokazał zamglone okno.

Wszyscy spojrzeli. On wyrzekł:
— Te pola wołają: pomóż!
Słyszysz ich krzyk, traktorzysto
przodującego POM-u?

Czy czujesz ziemi drżenie? —
drążą ją kiełki wspólnoty.
Pomóż!

...Ale ty nie wiesz,
ty nie chcesz wiedzieć o tym.

Tobie gwizdać na pracę,
na państwo, na wspólne mienie.
W wódceś utopił, Flis,
robotnicze sumienie.

I umilkł. I tylko palcem
nadal wskazywał okno,
gdzie pole się rozpływało
plamą ciemną i mokrą.

I wtedy to nagle Flis
szybkim, ochrypłym szeptem
powiedział, że dawno się dręczy,
że byłby przestał już przedtem,

że sieroctwo niedobre
na takie pchnęło go tory,
że nocą śnią mu się często
połamane traktory,

że niechaj na miejscu sczeźnie,
jeśli odtąd nie zaprzestanie
pić wódki... że może podjąć
takie zobowiązanie,

tylko nie wie, czy towarzysze
byliby temu radzi
i czy się Towarzysz Bierut
za taki czyn nie obrazi...

Urwał Flis. I nim z czoła
pot otarł — z całej sali
jakby ptaki frunęły.
Tak zebrani klaskali.

*

Nie wiem, czy echa tej sprawy
dotarły do Belwederu.
Lecz jeśli tak, jeśli słyszał
o tym Towarzysz Bierut,

zobowiązanie Flisa
na pewno go ucieszyło:
człowiek, co siebie zwycięża,
jest naszą dumą i siłą.

JANUSZ PRZYMANOWSKI

Żołnierze - przodownicy

Wzgórek jest niski, piaszczysty i łagodny jak rzucona na ziemię tarcza. Stary zygzak okopu — jak ornament zdobiący tarczę. Rzadkie sosenki wpełzają na krawędź wzgórza przylegającą do lasu. Las tkwi nieruchomo po drugiej stronie drogi — cichy, rozgrzany upalnym południem, przysypany na skraju szarym kurzem.

I wtenczas właśnie, gdy wydaje się, że cisza dźwięczy jakimś wysokim, lekkim dzwonieniem, z lewa, z głębi lasu dobywa się cichy szmer. Właśnie nie warkot, nie pomruk, ale szmer przypominający niespokojny powiew wiatru w nadjeziornych trzcinach. Szmer skradający się szybko, rytmicznie zawichrzony, niebezpieczny.

Niespodzianie, nie poprzedzony wzrostem natężenia dźwięku, zza drzew, na dużym gazie, wyskakuje motocykl. W ciągu ułamka sekundy jest jeszcze niewyraźny, rozmazany na tle drzew zielenią swej farby i plamami maskujących kombinezonów załogi, a potem wypada na polną drogę. W obłoku kurzu maszyna mknie naprzód, drapieżna, z lufą ręcznego karabinu maszynowego na przyczepce. Sylwetki trzech pochylonych postaci zwiadowców zdają się przyśpieszać jej bieg.

Teraz z lasu wyjeżdżają dwa motocykle. Z prawej mają wzgórze, z lewej sosnowy zagajnik.

Z zagajnika słychać strzał, tuż za nim serie broni maszynowej i huk wybuchającego granatu.

Motocykle nie zmniejszając szybkości robią zwrot o dziewięćdziesiąt stopni. Nie od strony zasadzki, lecz wprost na nią. Zwiadowcy w biegu zeskakują z maszyn, mkną za drzewami i słychać już tylko ich automaty i erkaemy.

Walka trwa krótko. Szybko nadjeżdżają główne siły zwiadu i zmiatają „wroga".

Podporucznik Władysław Potoczny wydaje rozkaz:

— Naprzód!

Kolumna motocykli rozkręca się jak stalowa sprężyna, pędzi teraz długimi skokami od horyzontu do horyzontu, napotkawszy wroga rozsypuje się na czole w tyralierę, bada jego siły, spycha i niszczy, przedziera się na tyły, omija umocnione stanowiska, by zgodnie z zadaniem bojowym przeniknąć jak najszybciej do pierwszej linii rowów, właściwej pozycji obronnej „wroga", rozpoznać jego siłę, sprowokować środki ogniowe do otwarcia ognia, przekazać zdobyte wiadomości dowództwu...

Dla obserwatora patrzącego z daleka ćwiczenie taktyczne zwiadu sprawia wrażenie lekkości, jedności pędu maszyn i ludzi, precyzyjnie pracującego mechanizmu, bodaj nawet wdzięku i pełnego niespodziewanych zmian tempa tańca, pięknego i groźnego zarazem.

Ale tak jak w dziele sztuki znawca wyczuwa bezsenne noce twórcy, jego pracę i trud, tak uważny obserwator dostrzeże smugi potu na zakurzonych twarzach żołnierzy, w nieznacznym błysku oczu wydającego rozkaz wyczyta wolę, trud i poczucie odpowiedzialności dowódcy, w idealnym zespoleniu ludzi i maszyn dojrzy długie dni pracy wyszkoleniowej i wychowawczej. W sprawności drużyn i plutonów, w niepowstrzymanym pędzie motorów, w szybkości i zdecydowaniu tyraliery czytać można jak w otwartej książce o tym, co stanowi siłę tego oddziału — o miłości ojczyzny, o autorytecie dowódcy, o pracy partyjnej i zetempowskiej organizacji.

I jeszcze na zakończenie ćwiczeń, z ust plutonowego - agitatora (który — jak sam mówi — gdy przyszedł do wojska, miał trudności z czytaniem i pisaniem, a dziś „i postawa, i myśli inne, i gadka inna") padnie słowo rozszyfrowujące tę bojowość i wzorowe wykonanie ćwiczenia. „Koledzy! Za dwa tygodnie w Warszawie Zlot Młodych Przodowników..."

Słowo to usłyszycie wszędzie, w każdym pododdziale, na każdych ćwiczeniach.

Żołnierze z pododdziału porucznika Potocznego posyłają na Zlot przodującego zwiadowcę, zetempowca, szeregowego Jana Małeckiego, a artylerzyści — działon kaprala Pietruchy, któremu nie może dorównać żaden inny w jednostce. Gdy zapytacie, skąd się wzięli ci wspaniali chłopcy, władający bezbłędnie nowoczesną techniką bojową, zbierający celujące stopnie z wyszkolenia politycznego, nauki o broni, ostrego strzelania, wychowania fizycznego — to padną zgodnie odpowiedzi: „z fabryki", „z kopalni", „z trzyhektarowej gospodarki"... A celowniczy z działonu kaprala Pietruchy, Jarosz, który dwie kary zasłużone na początku służby pokrył ośmioma wyróżnieniami i pochwałami, doda, że:

— Jakeśmy przyszli do wojska, to trudno było wymówić takie słowa jak „kanonier". Ale jak nam dowódca nadał po jednym pasku na naramienniki, to nie tylko łatwo było powiedzieć „bombardier", ale człowiek wiedział już, co do czego, co i jak...

Wiedzą ci chłopcy, co i jak. Nauczyła ich tego ta twarda, mocna i piękna szkoła życia, jaką jest ludowe wojsko. Wychowali ich dowódcy, wychowały partyjne i zetempowskie organizacje.

Wysyłają jednostki i pododdziały swych delegatów na Zlot. Najgodniejszych, najlepszych. Przodowników bojowego i politycznego wyszkolenia. Zwiadowców i artylerzystów, piechurów i czołgistów, lotników, saperów i marynarzy — wiernych synów ludowej ojczyzny. Tych, których pracy nie można zmierzyć procentem przekroczonej normy, którzy po to opracowują groźną sztukę władania bronią, by mogły śmiać się w Polsce dzieci i matki, by mogli marzyć zakochani, budować murarze i kreślić plany inżynierowie. — Jadą na Zlot żołnierze — obrońcy szczęścia prostego człowieka.

Janusz Przymanowski



WILHELM MACH

ZBROJNY LAS

TOR PRZESZKÓD I ZWYCIĘSTW

Belki są śliskie po niedawnym deszczu. Podkute buty z trudem utrzymują równowagę. Przebiec, nie spaść! Karabin w prawej dłoni dopomaga w balansie. Tu na namysł nie ma czasu, tu się trzeba zdać na odruch szybszy od rozwagi. Promień słońca przebił cień lasu i zapłonął na gładziźnie belki. Porażone oczy nie widzą przez moment niczego. Popod kładką — głęboki jar? rzeka? — ach, wystarczy taki ułamek myśli, by zachwiać ciałem biegnącego. Belka się zwęża — jeszcze trudniej. Udało się. Nogi i tym razem znalazły oparcie. Teraz od razu długi skok — pierwsza przeszkoda jest już w tyle.

Prędzej, prędzej! Sosnowy las umyka wstecz brunatną taśmą. Uwaga— jeży się przed biegnącym gęsty parkan, niski, lecz z ostro ciosanym grzbietem. Co za parkanem? Może ukryta przeszkoda, rów — więc już z daleka trzeba powziąć najlepszą decyzję. Odbić się mocno, wykonać kombinowany skok wzwyż i w dal — wygra się na tym cenne sekundy czasu. Podać się do przodu. Dobrze ustawić stopy. Ciąży oporządzenie, ręka z karabinem sprzeciwia się teraz wygodzie i precyzji ruchu — lecz trzeba to w sobie od razu zgnieść, zdusić, przezwyciężyć — mocniej na broni zacisnąć palce.



Przy śniadaniu

Nowa przeszkoda. Wbieg na pochyłą równię drewnianego pomostu jest z rozpędu szybki i łatwy. Las jakby się pochylił, znad szczytów drzew wychynął niewidoczny wcześniej obłok. I nagle jakby się urwała przestrzeń, jakby się skończył czas. Jest ciemna sekunda lęku i zwątpienia tam, na samej krawędzi stromizny, z której trzeba rzucić się w dół. Skądś z dala przybiega wezbrany krzyk żołnierskich głosów — radosna wrzawa. I czuje się przez moment, w trudzie samotnej decyzji, tę cudzą beztroskę jak dojmujący żal, jak krzywdę osobistą. Lecz w tym samym momencie, niewymiernie krótkim, już jest zryw ambicji, już jest więź z towarzyszami, z dowódcą. I wcześniej od świadomości akt woli i odwagi odrywa stopy od oparcia.

Dalej, szybciej! Nie czuje się w mięśniach tego, co już minęło. W pędzie trzeba się gotować i mobilizować do nowego wysiłku. Łomot serca, skurcz w zaschłym gardle. Zbliża się, zbliża, rośnie w oczach ta zapora najgorsza, najtrudniejsza. Gdyby tę chwilę oddalić... Nie. Własną wolą, szybkością biegu zbliża się ją do siebie. Już! Wysoka, prostopadła ściana. Odbicie, podskok — lewa dłoń zaczepia się palcami o górną krawędź, prawe ramię przerzuca karabin poza nią, bark pracuje jak dźwignia. Byle się unieść, byle sięgnąć stopą szczytu przeszkody. Mdleją mięśnie rąk. Zwierają się zęby. Pot spływa po twarzy, gorzkim smakiem wzbiera w kątach ust. Wolno, wolno dźwiga się tułów. Na nic. Nie wytrzymują dłonie. Karabin centymetr po centymetrze prześlizguje się z powrotem. Jest jeszcze parę bezładnych ruchów, buty szorują oporny pion, jest mgnienie rozpaczy i poddania się słabości, gdy ciało wyprężone zwisa i spada na ziemię. — Nie. Musi, musi się udać! Choćby potem... Dość! Nie jest się gorszym od innych! Ile się czasu straciło! Tylko że teraz — inaczej. Karabin za pas, na szyję. Uchwyt obiema rękami. Zapomnieć o bólu, zaciąć się, zwyciężyć! Całą siłą ciała i woli — do góry! Głos dowódcy dodaje siły. Już kolano zaczepia o brzeg. Sprężyć ramiona, zgiąć w kolanach... aa! Teraz już nie ma lęku przed skokiem, jak na tamtej przeszkodzie. Ta część zadania — wykonana. Znowu widzi się, że świeci słońce, że jest las, ziemia pod dudniącymi butami. Głęboki, mierzony oddech wraca ciału spokój i pewność.

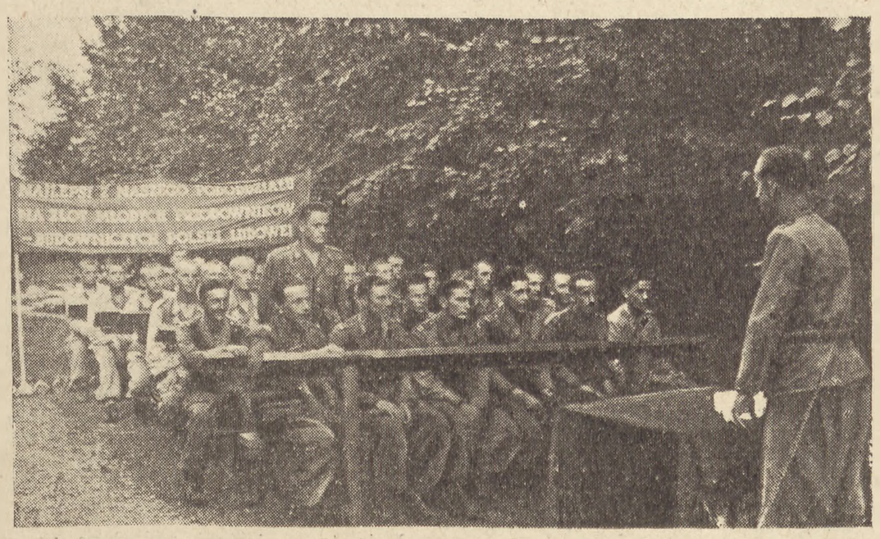
Jest się starszym jakby i dojrzalszym dochodząc do próby ostatniej. Tu trzeba rozwagi i opanowania. Paść, czołgać się — zasieki. Popod plątaniną kolczastych drutów — jak najciszej, jak najzwinniej. Tu czas się rozciąga i nabrzmiewa wysiloną myślą. Za zasiekami wróg. Przygotować się, uzbroić wolę na najcięższe, najbardziej odpowiedzialne. Pracuje wyobraźnia. Po obu stronach pełzną na pewno towarzysze walki. Nie jest się osamotnionym. Trzeba wykonać zadanie, zniszczyć wroga. Trzeba współdziałać z towarzyszami, własną osobistą sprawnością przysłużyć się powodzeniu akcji. Już zasiek wyminięty — więc jak najcelniej, z chłodną rozwagą w każdym ruchu, rzucić granaty. I skokiem — w okop nieprzyjaciela. Tylko że teraz już nie sposób znieść milczenia — i piersi, krtań, usta wzbierają szturmowym krzykiem.

*

Tor przeszkód jest tylko drobnym fragmentem bojowego szkolenia, a łamiący się z trudnymi początkami szeregowy Pietrucha, mój ziomek spod Rzeszowa, jest już dziś kapralem i — co więcej — dowódcą drużyny przodowników. Przebieg żołnierskiej służby zawiódł go do odpowiedzialnych zajęć artylerzysty. Widzieliśmy — grupka odwiedzających obozy wojskowe literatów — i jego, i całą drużynę podczas ćwiczeń. Rozmawialiśmy z artylerzystami - przodownikami po ćwiczeniach. Był czas utrwalić w pamięci twarze i słowa. Są to ludzie zadziwiający — ci żołnierze, co trafili do s w o j e g o działa ze wszystkich stron Polski, co z obsługi tego działa uczynili z czasem zgrany, jednorodny i przodowniczy zespół.

Jak do tego doszli, ci chłopcy po dwóch tylko niekiedy klasach szkoły podstawowej, różnego usposobienia, rozmaitej przeszłości? Dziedzice półhektarowych niegdyś, sześciohektarowych obecnie gospodarstw, inni — nowozaciężni w robotniczym fachu praktykanci? Ten Pietrucha z nosem o włos że nie zadartym, ten celowniczy Jarosz — indywidualista przekorny i żywy jak ukrop, ten Korzelski pochmurny z dziecinnie za to ufnym spojrzeniem, ten konopiasty i różowy Derek spod Łodzi, co się jeszcze żenić nie myśli, ten Marczuk stateczny i nieśmiały, najmocniej opalony, bo miał urlop po szpitalu, a potem tak ładnie nadrobił stracony czas szkolenia, i wszyscy inni, z których każdy wzywa pamięć o uwagę i wspomnienie?

Nie było sielanki od pierwszego zaraz dnia... Praca szkoleniowa i wychowawcza — to miesiące trudnego dojrzewania. Z czytaniem i pisaniem szło ciężko. Instrukcja bojowa wydawała się ponad wszelką możność zawiła. Nie od razu wykształcił się duch zespołu, poczucie kolektywnej odpowiedzialności, właściwe zrozumienie dyscypliny, świadomość ideowa wyższych i dalszych celów, wiedza o Polsce Ludowej i o ziemi podzielonej na dwa światy. Nie od razu pojęli właściwie treść swej służby, oddanej sprawie tworzenia, budowy, pokoju. Poprzez codzienne, konkretne doświadczenia zbliżali się do światopoglądowych uogólnień.



Pogadanka przedzlotowa

Pierwsza nagana trafiła w porywczego Jarosza za sobiepańskie zlekceważenie rozkazu, jego zdaniem — niepotrzebnego; po co miał pomagać w sprzątaniu sali, gdy do tego było już trzech innych? — wolał się zabrać do prania swoich onuc. Drugą w losach drużyny karę oberwał stateczny Marczuk za podebranie chleba z magazynu; wybierali się na ćwiczenia, bał się, że prowiantu nie starczy, a lęk przed głodem zachował się w nim z dzieciństwa. Brakło w oknie magazynu jednej szyby, śpiczasto zacięty kij, jakby na zamówienie znaleziony, dopomógł pokusie. Dziś przyznaje się do odpokutowanej winy z prostotą i godnością dojrzałego, świadomego obywatela. Pomógł mu w zrozumieniu błędu przykład dowódcy: — „W czasie wojny — opowiadał dowódca— zostaliśmy odcięci od swoich. Przez równe trzy tygodnie jadł z nas każdy po jednym sucharku dziennie. Lecz ten, co dzielił, nie zostawiał dla siebie extra ani okruszyny".

Potem nastał czas na pochwały — coraz częstsze. Drużyna pojęła wartość i znaczenie współpracy, pomocy wzajemnej. Im jej było więcej — tym lepsze stawały się rezultaty — 'nie tylko zbiorowe, lecz i indywidualne. Uczony, bo aż po 7-u klasach, prowadził Korzelski głośne czytanie i kierował tzw. nauką własną.

Korzelskiego za to podciągnął w gimnastyce na przyrządach zwinny i silny Pietrucha. Działonowy miał też najlepszą pamięć do formuł teoretycznych, do sentencyj skomplikowanych rozkazów bojowych. Wbijał je w pamięć kolegów tak umiejętnie i wytrwale, aż wreszcie nawet roztargniony Derek, choćby go ze snu wyrwać, recytował wszystko bez zająknienia. Marczuk po lekcji na temat prywatnej gospodarki okazał niespodzianą pojętność w wyszkoleniu politycznym, pomagając w tym przedmiocie słabszym; po służbie w wojsku wybiera się do Nowej Huty — z Derkiem. Chyba, żeby się Derek ożenił w swojej wsi, a to możliwe, bo się zanadto zarzeka...

Jeszcze w tym płynnym okresie pierwszych prób, osiągnięć, wahań, wzbogacił życie cementującej się drużyny nowy ważny moment: przyciągająca siła organizacji ZMP-owskiej — jeden z przejawów wychowawczego działania Partii. Dziś połowa drużyny, z działonowym Pietruchą na czele, należy do ZMP i podejmuje każdego dnia szlachetne współzawodnictwo z niezrzeszonymi kolegami. Kilku z niezrzeszonych ubiega się o przyjęcie. Celowniczy Jarosz, zawsze jeszcze trochę szaławiła i zagończyk, namyśla się, namyśla, głową kręci, gałązkę w palcach łamie — nie, dziś jeszcze nie może nic o tym powiedzieć. Po Zlocie.

Ten Zlot w Warszawie jest ich wielką, wspólną radością. Wybierają się wszyscy, całą drużyną. Niektórzy zobaczą stolicę po raz pierwszy, choć niejeden z tych właśnie wie o jej odbudowie, o produkcji jej zakładów przemysłowych więcej od gościa z Warszawy, bo ze statystyką i cyframi.

Czy świetne wyniki w klasyfikacji ostatniej, te celujące i bardzo dobre stopnie, są rezultatem ambicyj zlotowych i warszawskich? Tak, w pewnej mierze, ale nie wyłącznie. Rozmówcy znacząco podkreślają, że „starali się" dużo wcześniej, nim się zaczęło o tym słyszeć i mówić. I będą się „starać" także potem, po Zlocie.

Pełnię zespołowej solidarności ugruntowało w działonie współzawodnictwo z innymi jednostkami artyleryjskimi. Odbywało się właśnie ostre strzelanie. Chłopcy postanowili „pobyć" rywali. Agitatorzy podsycili zapał. I c h działo, o którym mówią z dumą i uczuciem, jak o żywej istocie — ich świetne działo stanęło do egzaminu.

Zaciągnięto je na pozycję nocą, okopano. Ranek był mglisty, po deszczu, widoczność słaba. Pozycję trzeba było zmienić o ileś tam stopni, przybyło roboty, a czas też się liczył w punktacji. Dwie tarcze metr na metr. Sześć pocisków — po trzy na tarczę. Odległość — 800 metrów.

— Kropnęliśmy raz — opowiada wymowny Jarosz — zakurzyło się, nic nie widać z początku. Za nisko. Poprawiliśmy. Buch. Jest. Po trafieniu już nie trzeba do tej samej tarczy. Więc w drugą. Buch — siedzi od pierwszego. Aleśmy się ucieszyli, że jej — jej!

— Zaoszczędziliśmy trzy pociski — dopowiada powściągliwy Marczuk. I aż się rumieni z dumy.

On to powiedział, Marczuk: „zaoszczędziliśmy". Ten, któremu trudno było z początku wymówić byle trudniejsze słowo.

Z pobliża dobiega pieśń — to radio gra w świetlicy.

— Moniuszko — mruczy płowowłosy Derek.

A Jarosz, żeby nie być gorszym, uzupełnia skwapliwie:

— Z opery „Halka".

JAK TO JEST W WOJSKU

Na tym i na innych obozach żołnierskich, a także w jednostkach zakwaterowanych na stałe, poznaliśmy wielu ludzi, o których bez emfazy musi się powiedzieć: niezwykli, wspaniali. Szeregowych, podoficerów i oficerów na różnych stopniach dowodzenia.

Znam wojsko sprzed wojny i z dostatecznym poczuciem odpowiedzialności mogę po prostu stwierdzić: mamy wreszcie wojsko. Wojsko doskonale wyszkolone. Wychowane w duchu głębokiego patriotyzmu i ukochania ludowej władzy. Czerpiące z najlepszych tradycyj własnego narodu, z doświadczeń sojuszniczej armii radzieckiej, z ideologii klasy robotniczej. Wojsko zasobnie wyposażone, świadome swych zadań, sprawne. Światłe i oczytane. Gotowe do spełnienia żołnierskiego obowiązku, gotowe do twórczej, pokojowej pracy w uspołecznionej strukturze gospodarczej. Wojsko, które — jednym słowem — dla tylu tysięcy młodzieży jest wielką szkołą życia. Wrócą w większości „do cywila", stając się rozsadnikami siły moralnej i żarliwego pojmowania pracy. Ci, którzy zostaną, będą kształcić i wychowywać świeże napływy młodych ludzi. Co za siła!

To są zdania ogólne, lecz zbudowała je obserwacja konkretna i rzeczowa. I trudno uszeregować w jednym wspomnieniu wszystkie sprawdzone fakty, trudno nawet uogólnieniom wyznaczyć właściwą hierarchię.

Może najmocniej i najczęściej uderza ta nowość: udział aktywu wychowawczo - politycznego w pracy nad żołnierzem. Pracę dowódców i przełożonych wspierają: partia, organizacja ZMP, rady świetlicowe, akcja propagandowa i agitacyjna, akcja samokształceniowa. Uczestniczyłem w pogadance, prowadzonej z żołnierzami przez korespondenta żołnierskiego. Byłem zdumiony poziomem wypowiedzi, szczerością w krytyce i samokrytyce, a także zakresem wiedzy wojskowej i ogólnej u szeregowych i podoficerów. Widziałem pracę agitatora w oddziale zwiadowczym, zagrzewającego żołnierzy przed ćwiczeniami gorącym słowem i — gazetką, taką arkusikową „Błyskawicą", którą był na kamieniu wyrysował i wypisał w ciągu kilku minut. Zachowałem ją sobie na pamiątkę — tę błyskawicę. Sam agitator, z mazurska zaciągający kapral, syn robotnika - komunisty, brat poległych od hitlerowskiej kuli Gwardzistów — agitator, który bez cienia pychy i bez cienia fałszywej skromności mówi o sobie: „to, że jestem teraz człowiekiem na takim poziomie, zawdzięczam wojsku" — wart rzetelnej epiki. Zasłużył na nią nie mniej jego dowódca, mistrz zwiadu, znakomity instruktor, przyjaciel oddany swoich żołnierzy, ich prawdziwy starszy brat.

Tu mi się chce od razu mówić o innej sprawie, równie uderzającej: o pięknym stosunku wzajemnym żołnierzy i dowodców. Jest dyscyplina— a nie ma drylu. Jest karność i sprawność bojowa — a nie bezduszna. Jest serdeczność — a nie poufała. Jest miejsce dla samodzielnej inicjatywy, dla osobistego stylu myslenia i pracy — a bez bałaganu. Jest powściągliwość i zwięzłośc — lecz opiekuńcza, troskliwa i o każdej potrzebie pamiętająca. Jest zrozumienie dla żołnierzy. Jest przywiązanie do dowódców. Tak — powiem to tym wszystkim, którzy wciąż jeszcze widzą w wojsku fabrykę robotów: — jest humanizm.

Nie ma za to bezmyślnych kar — tych wszystkich żabek, słupków, skakan na piec i z pieca, „lotników" w sypialniach, noszenia łóżek i wielu innych, wymyślnych rozrywek, jakich sobie nie szczędzili podoficerowie sanacyjnego autoramentu. Nie ma już takich podoficerów. Ostatni niedobitkowie „dobrej" pruskiej szkoły poszli sobie do domu w r. 1949. Ta data powtarza się w niejednej rozmowie, jako próg nowego etapu w życiu i rozwoju naszej armii — i rozumiemy jej wymowę. Jest w niej zawarta najszczersza, bo niedopowiedziana, wdzięczność żołnierza dla Naczelnego Dowódcy. Dziś wojsko jest społecznością, której praca i służba wspiera się na poczuciu sprawiedliwości i godności ludzkiej.

Codzienny byt żołnierza określa dzisiaj dobre zaopatrzenie, wciąż doskonalone urządzenia cywilizacyjne, o jakich się przed wojną nie śniło, bogata organizacja życia kulturalnego. Żołnierz je dobrze, zażywa pełnych dobrodziejstw higieny. Kuchnie obozowe, stołówki i kasyna — wzorowe. Zadziwia w leśnych obozach elektryfikacja, kąpiele natryskowe z ciepłą (nawet!) wodą, absolutna czystość. Czystość i estetyka. Leśne świetlice, zdobnictwo obozowe — to pokaz pomysłowości i kunsztu. Ruch artystyczno-amatorski przybiera na rozpędzie. Co za dekoracje obozowych alei, jakie plansze, rysunki, gazetki! Są tam zespoły śpiewacze, instrumentalne, taneczne, widowiskowe. Któryś oddział uteatralizował własnym przemysłem „Szosę Wołokołamską" Beka — grano ją sześć razy z wielkim sukcesem. — A sport! Niestety, na tym się nie znam, więc i opisać nie potrafię — lecz na piłce nożnej sam zdążyłem nadwerężyć nogę w kostce i kulałem dumnie przez dwa dni. Za to z prawdziwą rozkoszą oceniłem jakość basenu kąpielowego, w którym instruktorzy uczą pływania. Mają basen imponujący. Z jednej strony las, z drugiej łąka. Jezior im za mało!

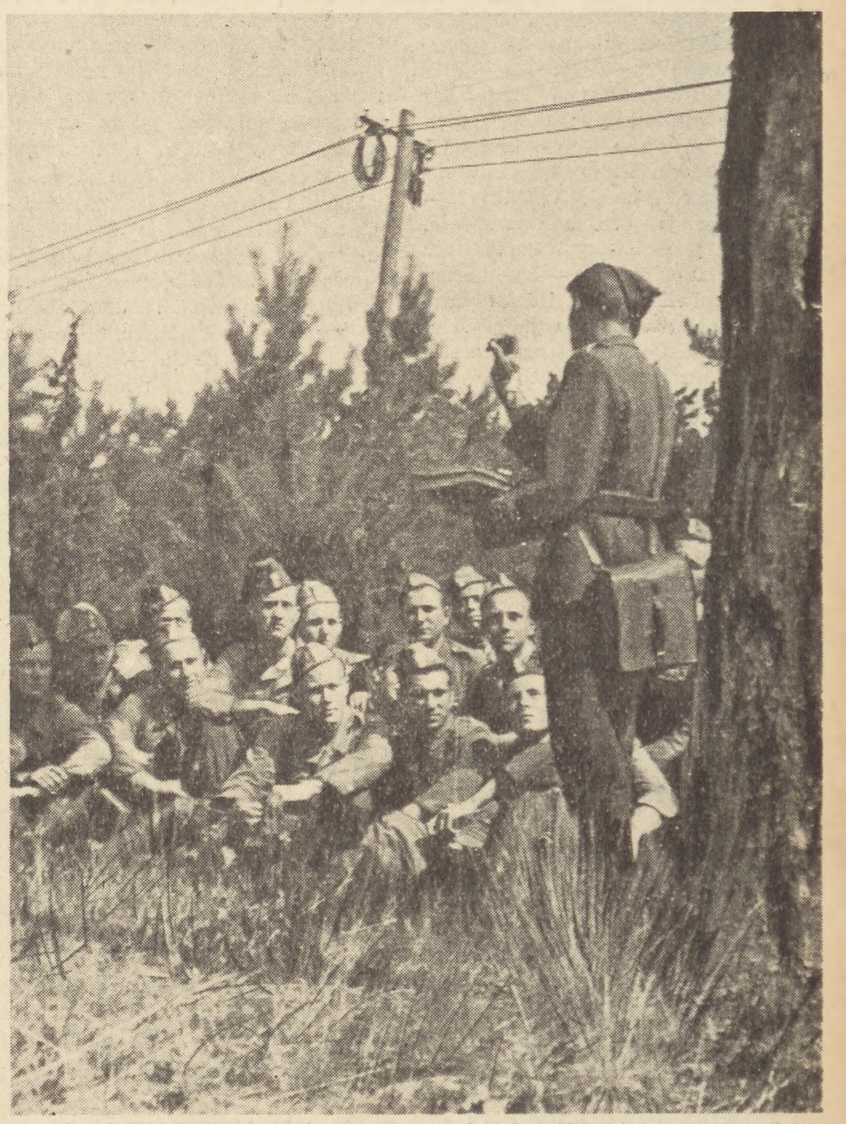
Skąd to się wszystko bierze? Oczywiście, nie umiem odpowiedzieć po tej jednej, zbyt krótkiej wyprawie. W czasie moich odwiedzin gościło w jednostkach, o których mowa, kilka zespołów artystycznych i instruktorskich, delegowanych przez centralne instytucje ze stolicy. Zdążyłem zaobserwować niektóre przejawy i rezultaty tej właśnie współpracy.

Był więc teatr z komedią sportową. Żołnierze reagowali na akcję sceniczną i na grę rozumnie i z rozwagą. Wybuchali śmiechem tam, gdzie istotnie było do śmiechu. Dyskutowali cichutko między sobą kwestie „z tezą".

— Uważasz — domyślał się trafnie mój sąsiad, pouczając mniej pojętnego kolegę — ci przy wódce to kapitaliści. A ci młodzi to chcą robić dobry sport. Nie zawodowy, bez przekupstwa.

Nota bene w żołnierskim lesie nie zabrakło „sali teatralnej" — cóż to za ładna budowla!

Był zespół plastyków, prowadzący kurs zdobnictwa amatorskiego. Wynikła stąd bardzo ładna wystawa projektów dekoracyj, makiet, rysunków. Jeszcze więcej urody przybędzie pewnie obozom i koszarowym wnętrzom, dziedzińcom i parkom.



Odprawa

Była grupa propagandowo - oświatowa. Urządzała odczyty z dyskusjami. Wyświetlała filmy popularnonaukowe i fabularne. Nasza nieliczna brygada literacka asystowała koledze Hamerze przy demonstrowaniu „Pierwszych dni" i wysłuchała ciekawej, pouczającej dyskusji po seansie.

— Jaka jest droga twórcy od pierwszego pomysłu do ostatniej realizacji? — zapytał pewien starszy strzelec. — Jak powstaje książka? Jaki jest udział fikcji i autentycznego materiału obserwacyjnego w dziele literackim czy filmowym? Czy ludzie i zdarzenia w „Plewie" są prawdziwe?

Pytanie było zastanawiające. Sformułowane precyzyjnie, inteligentnie. Zwróciliśmy baczną uwagę na młodego rezonera w okularach: ho, ho.— Gdy wyszliśmy z sali na dziedziniec, zrozumieliśmy natychmiast znaczną część miłej niespodzianki. Bo to było tak:

KSIĄŻKI W TORNISTRACH

Przyjechał z nami do tej jednostki jeden z naszych towarzyszy wyprawy, kolporter wydawnictw. Przywiózł z sobą trzy skrzynie książek. Rozłożył je przed wejściem do świetlicy na dużych dwóch stołach — taki improwizowany kram. Wychodzimy więc z „kina" — a tu książek już prawie nie ma. Wokół resztek tłoczą się klienci-żołnierze. Poszło w ciągu trzech godzin niemal wszystko: powieści, tomy wierszy, antologie, prace teoretyczne z zakresu marksizmu-leninizmu, broszury szkoleniowe. Pomyślcie: były tam tomiki za grosze, lecz były książki po 12 i więcej złotych. Z jak wzruszającą rozrzutnością pozbyli się szeregowi i żołnierze swych żołdowych oszczędności. Naturalnie, udział oficerów był walny i może nawet „dochodowo" decydujący — lecz po wcześniejszych kontaktach z dowódcami nie zdziwił nas ich zapał do lektury. Obrazu tych żołnierzy, przebierających w stosach książek, sięgających solennym, pełnym powagi gestem po tom wybrany, nie da się zapomnieć. Poddaliśmy się cichemu, głębokiemu wzruszeniu. Były to chwile bardzo piękne. Zrozumieliśmy, skąd się wziął niezależny od szkolenia szlif dyskusyjny, skąd się wzięła kultura wypowiedzi. Wojsko dużo czyta. Lubi książki. Szuka ich. Niech o tym wiedzą koledzy - pisarze: wojsko jest masowym odbiorcą literatury.



Na stanowisku

Te obserwacje potwierdziły się wielokrotnie. Hamera i Przymanowski urządzali „południa" i „wieczory" literackie. W dyskusjach — w głosach ludzi wojskowych rozmaitego stopnia, od szeregowego do pułkowników — powtarzało się to samo.

Znaczna znajomość literatury współczesnej, zwłaszcza z tematem wojennym i żołnierskim. Gorąca pochwała książek radzieckich. Niemniej gorące wezwania i apele w sprawie polskich książek o żołnierzu i dla żołnierzy, a zwłaszcza książek z **współczesną** tematyką wojskową, o życiu i pracy żołnierzy **dzisiaj.**

Jakżeśmy nie doceniali czasem czytelniczej kultury żołnierza! Chcieliśmy powiadomić zwiadowców o „Gwieździe" Kazakiewicza — czytali wszyscy. Niekrasowa, Polewoja, Ostrowskiego „Jak hartowała się stal", Beka — znają jak własny karabin. Szczupłą rodzimą literaturę żołnierską poznali, lecz ich ona nie zadowala, nie zaspokaja. Temat wojenno - okupacyjny nie wystarcza. Pragną żywych, własnych bohaterów — na wzór bohaterów radzieckich książek — by im służyli modelem, przykładem, pomocą w ich służbie. Tęsknią za takimi książkami, w których znajdą siłę, dzielność i poświęcenie, ofiarność i koleżeństwo— treść czasem własnych, przez nikogo nie utrwalonych przeżyć, a kiedy indziej — treść godną naśladowania. Ach, jakże nagłą o takie książki ci, którzy sami mieliby nieraz pełne prawa zająć miejsce ich bohaterów. Ludzie z bohaterską przeszłością, byli partyzanci, bojownicy I-ej i II-ej Armii — a obecnie dowódcy - wychowawcy nowego ludowego wojska.

Poznałem takich — i zdumiałem się, że oto żyją naprawdę, że nie są literacką hiperbolą, że wiodą w tych lasach żołnierskich swe skromne i ciche, a jakże ofiarne i pełne żaru biografie, z których — gdy je poznać — garściami by pełnymi brać i brać. Co jeden życiorys, przez traf przypadkowy uchylony, to wspanialszy. Jeden z nich przejął mnie szczególnie. Lecz nim go pokrótce opowiem — dla stonowania oddechu przytoczę „okoliczności obiektywne" i może jedną posłyszaną anegdotę.

NARADA WOJSKOWO - LITERACKA

Znaleźliśmy się pewnego popołudnia w towarzystwie wyższych dowódców jednostki. Wymieniliśmy zdania na temat współpracy pisarzy z wojskiem. Temat okazał się pojemny, i tak bym z całości dyskusji nie

zdążył zdać sprawy. Najpierw mówiliśmy my — literaccy goście. Zwierzaliśmy wrażenia i własne opinie. Konkret, materiał, żywe życie — to nas oszołomiło. Lecz z perspektywy pisarskiego odbicia—nie byliśmy w tej rozmowie pewni ani siebie, ani sprawy. Trudna jest dla pisarza specyficzność żołnierskiego tematu — mówiliśmy. Niedostateczna znajomość realiów obezwładnia. Wiemy, jakich książek oczekuje wojsko — lecz wiemy to dość „w ogóle", zwłaszcza w zakresie współczesności. Konflikty? — nie bardzo je pisarze wyczuwają, zwłaszcza pisarze - cywile. Powieść współczesna o wojsku? — trudniejsza niż jakakolwiek inna. Udział fantazji? — niełatwy do wymierzenia. Humor żołnierski dla potrzeb „małej formy" literackiej? — też to nie prosta rzecz. Takeśmy się martwili, żalili. Bo i to jeszcze — tajemnica wojskowa. Ciężko, ciężko. Więc żeby nam poradzili. Niech powiedzą, co myślą o tym, co już jest, i jakie powinno być to, czego jeszcze nie ma. Niech poddadzą potrzebne i ważne — ich zdaniem — problemy i wątki. Niech pomogą.

Poradzili, pomogli, poddali, osądzili — z taką szczodrością, aż nam się w głowach zakręciło. Ale to osobny temat — gdyż mój reportaż chce opowiedzieć widziane i przeżyte, a tam było całe plenum w sprawach literatury żołnierskiej. Więc powiem tylko tyle, że oni sami, nasi gospodarze, starczyliby na pełny komplet bohaterów powieściowych — takie zaprezentowali bogactwo typów, różnorodność znakomitych życiorysów, faktografii, doświadczeń i przeżyć, anegdoty i humoru. Tam utwierdziłem ostatecznie mój podziw dla zalet umysłów i serc naszych dzisiejszych dowódców i pomyślałem jeszcze raz: mamy wreszcie wojsko.

JEDEN Z DOWÓDCÓW I MY

Zanim wystąpił ten, który targnął najmocniej naszą wyobraźnią (milczał długo) — zafrapował nas i zawojował naszą uwagę ktoś inny.

Tak znakomitego opowiadacza nie słyszałem od bardzo dawna. Każdym zdaniem zdawał się mówić: — Chcecie tematów, wątków, konfliktów? — proszę, macie. Skarżycie się na nieokreśloność materiału? — proszę, bierzcie.

— My wam, pisarzom, pomożemy, tylko wy się do nas przybliżcie. Powiedzcie to kolegom. Wojsko, nasze ludowe wojsko, potrzebuje dobrej literatury. To mocna, ważna broń — książka. I co za pomoc w naszej pracy, co za pomoc dla agitatorów i propagandzistów, którym brak bogatych przykładów z powieści i opowiadań, którzy chudną z gazetowej paszy. I niech to będą książki z piękną, słuszną treścią ideową, a w formie — nasze, polskie.

A jednak moje słowa nie umieją przekazać czytelnikom sylwetki mówcy, jego nieporównanego stylu bycia i ekspresji. Była w tym swada i polot, nieujarzmiona pasja życia, rozrzutność i fantazja, powaga i prześmiech, ironia w świetnym gatunku i serdeczność, praktyczna wiedza o życiu, rozum — wszystko to biło naraz z jego postaci masywnej, z porywczych, to znów jakby siłą powściąganych gestów, z otwartej a zmiennej w wyrazie twarzy.

Dostało się nam, pisarzom, tęgo — tak między liniami. I to w jakim stylu! Śmiech jego krótki, kończący każdą cząstkę mówienia, na pół serio, na pół-niby, kpiący i dobroduszny, wyzywający i pobłażliwy, takie przelotne, zwinne ha-ha — ten śmiech się wymykał wielkim kontrargumentom, jątrzył i zawstydzał, zachęcał i zjednywał, zmuszał bez przerwy do myślenia, do decyzji. Po każdym opowiadaniu, na dokładkę — takich parę słów: — No tak. Ale to nie jest literacki temat, co? — No tak. Wy to, zdaje się, nazywacie: k o n f l i k t y, co? — Więc. Ale to za trudne, prawda? — Zabawne? Ależ humor żołnierski to taka trudna rzecz...

Od niego to dowiedzieliśmy się o oddziaływaniu wojska na ludność cywilną, o przemianach, jakim ulegają rodzice poborowych odwiedzający swych synów (organizacja tych odwiedzin jest teraz znakomita). O konfliktach między obowiązkiem służby i sprawami życia osobistego. O różnych formach wrogiej, destruktywnej roboty reakcyjnych sił. O konkretnych zwycięstwach żołnierskiej postawy ideowej w trudnych, nieoczekiwanych sytuacjach. O życiu wewnętrznych jednostek. O reliktach okresu minionego, o ich przezwyciężaniu w psychice jednostek jeszcze nie dość dojrzałych.

BOHATER POWIEŚCI SZUKA AUTORA

Było coś elektryzującego w krótkim przemówieniu milczącego dotąd oficera — Henryka Kossowskiego — od pierwszych słów. Szła od niego siła, gdy lekko stłumionym głosem zaczął rozwijać swą myśl o wspóczesnoczął rozwijać swą myśl o współczesności i o literaturze, którą współczesność winna utrwalać. Gdy potem zarysował tematy, które — jego zdaniem — czekają na podjęcie. Roziskrzyły mu się czarne oczy zapałem, żarliwą wiarą, że literatura poradzi, że nie zawiedzie. Metal i płomień stopiły się w tych oczach, przez które przebijało głębokie, karnie na wodzy trzymane wzruszenie. Musiał zastanowić słuchacza twardy, proletariacki akcent w głosie, gdy sama forma mówionych zdań była klasycznie nieskazitelna. Kilka skromnie i mimochodem wtrąconych momentów autobiograficznych utwierdziło pierwsze wrażenie: to jeden z tych, co — nieświadomi tego — czekają na pisarza. „Szczęsny z „Celulozy" Newerlego — w mundurze" — pomyślałem.

W późniejszej bezpośredniej rozmowie dowiedzieliśmy się o nim więcej. Życiorys niezwykły. Początek biografii — to schronisko dla bezdomnych na Żoliborzu w Warszawie. Stan obecny: dowódca jednostki. Co zawarła klamra czasu 1916 — 1952, jaki był przebieg losu tego pięknego, mocnego i światłego człowieka?

Było — po kolei — bezdomne i sieroce dzieciństwo. Potem 6 klas szkoły powszechnej i jeszcze klasa 7-a, przerobiona przez chłopca samodzielnie. Nędza zmusza do przedwczesnej harówki, wśród której ulatniają się z głowy uzbierane wiadomości. Henryk jest chłopcem na posyłki, pracuje w hurtowni naczyń, w piekarni. W roku 1938 odbywa czynną służbę wojskową i w rok później, po pamiętnym wrześniu, przedostaje się do Związku Radzieckiego. Przez pierwsze lata — praca w fabryce.

— Było tam dużo Polaków—opowiada — każdy dużo o sobie mówił. Każdy się chciał pokazać znaczniejszym nawet, niż był. Ten miał ojca przemysłowca, ów — dziedzica. Nie brakło ludzi wykształconych. Było mi ciężko, milczałem, wstydziłem się swego nieuctwa i marnej przeszłości.

28 maja 1943 roku wstąpił do I Dywizji. Walczył pod Lenino w oddziale wojsk pancernych. Zwrócił na siebie uwagę — przydzielono go do odpowiedzialnej służby zwiadowczej. Lecz i wtedy jeszcze zgnębione dzieciństwo przypominało się depresją i lękiem przed „mądrymi". Na ten czas przypada doniosła w skutkach interwencja starszego lejtnanta Sasowa, radzieckiego towarzysza broni, który podejmuje się wyszkolić zdolnego żołnierza i wkrótce — wbrew jego samopoczuciowym skrupułom — czyni go szefem kompanii. Pomogli teraz i inni oficerowie. Fotografię Sasowa, pierwszego i najlepszego przyjaciela i opiekuna, nosi Henryk Kossowski do dziś przy sobie. Oczy mu łagodnieją, cichnie i łamie się głos, gdy o nim mówi. Bo Sasow poległ.

Przeszedł potem Kossowski do szturmowego batalionu spadochroniarzy. 1 marca 1944, na skutek interwencji Wandy Wasilewskiej, wstępuje — znowu z trwogą, czy podoła — do szkoły oficerskiej. Uczy się zajadle — o, jak trzeba było pracować, jeśli się jeszcze nawet działania ułamkami nie bardzo znało. Dopomagają jednak towarzysze — koledzy szkolni, nadludzki upór dopomaga najwięcej, i oto kończy szkołę z 64 lokatą na 120.

Reszta tej zwięzłej biografii — to dalszy pochód bojowy na Zachód i dalsze zażarte samokształcenie. Dziś dowodzi jednostką. Jest — jak sam powiada — twardy, bo twarda była szkoła, jaką przeszedł. Jest wobec żołnierzy wymagający, bo umiał i od siebie wiele wymagać. Lecz nie ma takiej troski, takiej sprawy, z którą by żołnierz do niego nie przyszedł. Bo wie, że nie odejdzie bez pomocy.

Dziwiłem się jawnie tej biografii. Oficer Kossowski roześmiał się i powiedział:

— To nic nadzwyczajnego. Takich jest u nas dużo.

GROBOWIEC FASZYZMU I SAPER Z KSIĄŻKĄ

W drodze powrotnej skręciliśmy nieco z trasy, by zobaczyć jedną z głównych kwater wojennych Hitlera. Mieści się to wszystko w lesie — całe dziwaczne, obłędne miasto na wpół zburzonych, głęboko — dotąd nie wiadomo, na ile pięter — zarytych w ziemię bunkrów. Hermetycznie sklepione, masywne bloki granito-cementowe, uzbrojone stalowymi prętami, są podobne do piramid o ściętych wierzchołkach. Ściany dwumetrowej grubości. Faszyści uciekając, wysadzili cały majdan w powietrze — i tak parszywieją te pamiątki nieludzkiej pychy i nieludzkiej głupoty szczerząc zręby rozwalonych głazów, ziejąc czarnymi rozpadlinami. Duże sklepienia podziemne cuchną grzybem. Betonowe aleje rozsadzają wilgoć i mrówki. Z siatek maskujących okoliczni chłopi porobili ogrodzenia w sadach. Miny, gęsto wszędzie poutykane, wyłowili saperzy. W lesie rosną poziomki, duże, blade, niesłodkie.

Hitler rozpoczął budowę zaraz po dojściu do władzy. Oto jeszcze jeden przyczynek historyczny na temat faszystowskich planów agresji... Ileż żywotów ludzkich kosztować musiała ta monstrualna architektura! Gdzież są robotnicy, którzy ją wznosili?

Oprowadzał nas po tym cmentarzysku saper, plutonowy. Jeszcze jeden z poznanych przez nas przodowników, odznaczony za wzorową służbę, delegat na Zlot. Dużo ciekawych rzeczy opowiadał — jak to saperzy łowią miny, jakie te miny są... a najgorsze te szklane, bo je trudno wytropić. — Niebezpieczne? — Nie, nie bardzo, zależy jak która, ale nogę to może urwać. — Bagatela!

Dał mu Hamera przy rozstaniu egzemplarz „Plewy". Ucieszył się saper bardzo. I tak nam został w oczach, z ręką podniesioną do góry w pożegnalnym geście, znieruchomiałą — jakby coś przyrzekającą. A w ręce książka.

Wilhelm Mach

KRYSTYNA PAŁYS

TRAKTORZYSTA

PGR Machnów — wielka „fabryka chleba" na 10 tys. ha — stanął na południowo-wschodnim skrawku powiatu tomaszowskiego mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Warszawie rozpoczynano zakładanie fundamentów pod Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową. MDM dźwigano na ruinach bohaterskiego miasta, PGR budowano na pogorzelisku, na ziemi, nad którą najdłużej dymiła żagiew wojenna. Spalone, zburzone do podmurowań przez faszystowskie bandy wsie, zdziczałe sady czekały najdłużej na gospodarza.

Jeszcze dziś stary Machnów krzyczy z daleka kikutami połamanych, osmolonych drzew, sterczącymi znad zasypanych studzien żurawiami, strzępami zawieszonych na rumowisku strzech o grozie tamtych lat.

Do nowego Machnowa można było dostać się jedynie głęboko wyżłobioną przez traktory koleiną w gęstej mazi. Tłusta, sypiąca hojnie ziarnem tomaszowska ziemia nie wchłonęła jeszcze wody ze stopniałych śniegów. W koleinie świeciły kałuże, a wyżej tworzyła się już w słońcu twarda skorupa i pękała. Z siewami nie można było tutaj zwlekać ani dnia.

W połowie drogi zahuczał za nami traktor. Należało wybrać między skokiem w spiętrzoną po bokach maź a wdrapaniem się na traktor, który przystanął. Każdy bez namysłu wybrałby to drugie .

W takich okolicznościach spotkaliśmy się z Tadeuszem Czubackim, traktorzystą z PGR Machnów. Wiózł z Bełżca zboże do siewu. Zanim podał mi rękę, wytarł ją o wymazany smarami kombinezon i przygładził dłonią gęstą jak futrzana czapa, wypłowiałą od słońca czuprynę.

Na pustkowiu i w górach ludzie zawierają znajomości łatwiej. Zanim traktor wygramolił się na twardą szosę, rozmawialiśmy już jak przyjaciele. Za nami została zburzona wieś, przed nami na wielkiej równinie rozłożył się nowy Machnów—z górą pół setki czerwonych domów, cztery wielkie jak hangary obory i nie mniejsze szopy, transformator. Maszty wysokiego napięcia tkwiły pośrodku olbrzymiego obszaru jak nowa, wspaniała dekoracja.

Nim dojechaliśmy do pierwszych zabudowań PGR-u, nie obce mi było dzieciństwo Czubackiego, chociaż mówił o nim bardzo powściągliwie. Bo czyż można rozwodzić się z upodobaniem nad życiem wiejskiej sieroty, której edukację można było podzielić na etapy pasania gęsi, krów, koni i obrządków w oborze? Czyż można było dziwić się, że chłopak poszedł ze wsi w świat szukać innego życia, że trafił do Machnowa jako pomocnik traktorzysty?

Dostał mu się ten „Ursus 45", na którym jechaliśmy. Szanował go, jak umiał, bo robotę przy maszynach lubił. Po kilku tygodniach znał już wszystkie jego części i „narowy", potrafił sobie z nimi doskonale radzić. Mówił o traktorze jak o żywym stworzeniu, czyścił go, smarował, oliwił... i nie oglądał się na średnie remonty. Inne traktory dawno poodsyłano na przymusowy wypoczynek w warsztatach, a „Ursus 45" ciągle jeszcze warczał na machnowskich polach.

— Ślub chyba wziął ten Czubacki ze swoją maszyną — żartowali. — Do remontu na pewno pójdą też razem.

Żartów zaniechano, kiedy okazało się, że młody pomocnik zaoszczędził na remontach średnich dziesięć tysięcy złotych. Byłby zaoszczędził jeszcze więcej, gdyby nie spotkał pewnego wieczoru złego doradcy.

* * *

Było to w jesieni ubiegłego roku. Maszyny we wszystkich czterech gospodarstwach zespołu Machnów pracowały całą parą przy omłotach. Czubacki nie wiedział, co zrobić z sobą tego wieczoru. Świetlica była pusta, bo ludzie odchodzili od stert tylko na mocno skrócony odpoczynek. Kino było dalej niż 20 kilometrów od Machnowa, w siedzibie POM-u Lubycza Królewska. Wałęsał się więc po drodze i spotkał starego woźnicę, a ten zaciągnął go do siebie.

— Ckni ci się, nieboże, a ja mam dla ciebie dobre lekarstwo — mamrotał bezzębnymi ustami. Posadził Czubackiego za stołem i wyciągnął z szafki butelczynę. — Wypijemy sobie!

Chłopak nie śpieszył się, próbował oponować, ale stary nie ustępował. Wypił więc dla świętego spokoju i skrzywił się. Drugi kieliszek jeszcze pił niechętnie, do trzeciego nie trzeba było go już namawiać.

Nad ranem Helena Bondyra biegła do obory. W ciemnościach usłyszała człapanie po błocie, a potem przerywaną pijacką czkawką piosenkę. Poznała głos Czubackiego.

— Ho, ho, źle sobie poczyna Tadek — pomyślała.

Potem wypadki potoczyły się jeden za drugim. Czubacki pił każdego wieczoru i na każdej zabawie. Próbowali go niektórzy odwieść od tego, ale on hardo powtarzał swoje: — Nie za wasze pieniądze, pilnujcie swego, a do mnie nie wtrącajcie się! Nierzadko porywał się też i do bicia, a zwady szukał przy każdej sposobności. Może dlatego, że czuł, na jaką zszedł drogę, ale fałszywa ambicja nie pozwalała mu zawracać. Doszło do tego, że z nazwiskiem Czubackiego łączono już dosadne, obraźliwe słowo „chuligan". Po zwadzie, którą miał pewnego wieczoru z ORMO-wcami, a zakończonej bójką, słowo to przylgnęło do niego na stałe.

Potępili wtedy Czubackiego wszyscy, ale najdłużej zastanawiano się nad tą sprawą w zarządzie zespołowym ZMP. Brygadier Kurdybanowski (ten, który pierwszy zakończył omłoty) słusznie zauważył, że traktorzysta pracuje dobrze, a źle postępuje dopiero wtedy, gdy odejdzie od traktora. Nie można było też powiedzieć, że w pogoni za normami orał byle jak. Nie partaczył.

Na zebraniu ZMP przemówili wtedy do Czubackiego jak do kolegi — szczerze. Nie brakowało przecież wiele do zwolnienia go, musiałby pożegnać się ze swoim „Ursusem" i Machnowem. W owej chwili dopiero chłopak uprzytomnił sobie, do czego doszedł. Zaniechał tym razem hardych odpowiedzi i po raz pierwszy od kilku miesięcy wyrwało mu się z ust coś w rodzaju skargi: — Sam jestem, z was każdy ma rodzinę, do picia namówili starsi...

— Nie masz rodziny, ale masz życzliwych kolegów, dlaczego nas omijałeś? Gdybyśmy nie uważali ciebie za naszego, potępilibyśmy cię jak starsi i skreślili z naszej listy. Chcemy, żebyś skończył z piciem i został z nami.

Na tym zebraniu dał kolegom słowo, że przestanie pić. Starsi nie dawali wiary przyrzeczeniu.

— Poczekajcie trochę, zobaczycie, że za kilka dni zapomni, co obiecywał.

Minęły jednak dwa tygodnie i nikt nie spotkał traktorzysty pijanego. Przyjechała potem komisja kwalifikacyjna. Zgłosił się do egzaminu, przyznali mu prawo jazdy na „Ursusie". W lutym wiedzieli już w Machnowie o Zlocie.

— Pojadę na ten Zlot — oznajmił na jednym z zebrań i jako dowód, że nie rzuca słów na wiatr, zgłosił zobowiązanie: — 3 tysiące godzin bez średniego remontu przejadę i 15 procent paliwa zaoszczędzę na moim „Ursusie" na cześć 60-lecia urodzin Prezydenta. Wzywam do współzawodnictwa wszystkich traktorzystów okręgu lubelskiego!

Zrozumieli, że postanowienie było niezłomne, ale czy da radę je wykonać — pytali tym razem nawet młodsi. A on, gdy mu zabrali maszynę do remontu, poszedł pracować do warsztatu. W kwietniu gazetka zakładowa „Życie Machnowa" umieściła w krótkim komunikacie nazwisko Czubackiego wśród przodujących realizatorów „Wart Bierutowskich".

* * *

Przed wyjazdem z Machnowa spotkaliśmy się jeszcze raz późnym wieczorem z Czubackim. Zajeżdżał przed magazyn z ostatnią przyczepą zboża na siew. Spieszył się bardzo, bo młodzież schodziła się już do świetlicy na próbę. Przygotowywali program na urodziny Prezydenta. Ciekawy to był program i ciekawi wykonawcy. W orkiestrze pierwsze skrzypce trzymali przodujący traktorzyści, a pałeczkę dyrygenta dzierżył sam zootechnik zespołowy, Alojzy Walencik. Nie mogło tam braknąć Czubackiego.

— Na pewno naopowiadali wam o mnie wiele złego. Mówili prawdę, ale to już przeszło. Mimo wszystko pojadę na Zlot! — zakończył buńczucznie. W okrzyku tym jednak pod warstwą młodzieńczej zuchowatości wibrowała nutka niepokoju. Zdradzała, że chłopak przeżywa jeszcze obawy, by nie załamać się, nie jest pewien zwycięskiego wytrwania do końca. Jeszcze nie wyrwał zła z korzeniami, jeszcze z sobą walczył.

Dlatego może „ślubowanie" Czubackiego utkwiło mi w pamięci.

* * *

Od pobytu w Machnowie upłynęły trzy miesiące. W gazetach lubelskich ukazała się wiadomość o podjęciu zobowiązań przedzlotowych przez młodzież tego PGR-u. W sześciu brygadach 113 zetempowców stanęło do prac, by zaoszczędzić milion czterysta tysięcy złotych. Wśród kilku wymienionych nie znalazłam nazwiska Czubackiego. Przypomniała mi się owa nutka, wibrująca nieśmiało w okrzyku traktorzysty. Czyżby nie wytrwał?

Nie przypadkiem po gminnych wyborach delegatów na Zlot znalazłam się w Zarządzie Wojewódzkim ZMP w Lublinie, przypadkowo jednak zadzwonił telefon na biurku i zgłosił się Tomaszów Lubelski. Krótki gest i zrozumiano, że mam coś do załatwienia w Tomaszowie, po zakończeniu rozmowy oddano mi słuchawkę. Zapytałam w Zarządzie Powiatowym ZMP o Czubackiego.

— Jest! Czubacki Tadeusz z PGR-u Machnów. Tak, pojedzie na Zlot! — huczało donośnie w słuchawce.

Krótka odpowiedź donosiła o zwycięstwie traktorzysty.

Gdy 22 lipca wedrze się w ulice MDM dwustutysięczną ludzką rzeką nasza młodość, nie zapominajcie, że maszeruje tam Tadeusz Czubacki, z Machnowa, traktorzysta — który potrafił wymazać obok swego nazwiska obelżywe słowo „chuligan", a wpisać na tym miejscu chlubną nazwę przodownika pracy. Chłopiec, którego wychowali koledzy z ZMP, a pomógł mu dźwignąć się Zlot.

Krystyna Pałys

TADEUSZ URGACZ

PORUCZNIK KBW

Wiersz poświęcony pamięci por. Mackiewicza — oficera politycznego, bohatera Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który zginął w walce z bandami.

Latarka na sosnowym stole,
żywiczny, leśny zapach podłóg,
świerszcz za kominem, wiatru podmuch
od niedomkniętych drzwi.
Za drzwiami
księżycem malowane pole.

Para obłokiem płynie z chaty,
od ognia pada cień kosmaty,
na sznurze szereg onuc mokrych.
Ktoś nuci pieśń, ktoś broń oliwi,
ktoś liczy kule i granaty.
Latarka smużką izbę złoci.
Porucznik wsparł na dłoni czoło.
Ogień iskrami kreśli koło.
Jest noc — jak wiele takich nocy.

Daleko — dom — daleko.
Teraz
matka gorącą warzy strawę.
Daleko —
w wielkomiejskie centra
karnawał barwnym mknie kuligiem,
po pracy idzie na zabawę
młodzik wesoło śpiewający,
a w wielkiej hucie grzywa dymów,
a w grzywie dymów żywa iskra:
wytapiacz — schyla się — daleko —
nad żrącym żarem paleniska.

Latarka błyszczy się jak złoto,
promieniem płynie w nocy potop.

Daleko — rozbawione dzieci
zdmuchują kwiaty mrozu z szyb,
daleko — ona jest.
Jak miło
wspominać ją na kresach kraju,
w śnieżystych burzach,
w chmurach mgły.

Już czas! — Dowódca wydał rozkaz.
Wtedy porucznik przetarł czoło,
brzęknęła ciężko ładownica,
jeszcze gorące jedno słowo:
— Jest w Bezpieczeństwie stary zwyczaj —
równać do najlepszego.
W walce
potrzebni są najlepsi.
Naprzód! —

*

Na kolbach zacisnęli palce.
Przez leśne wydmy i parowy
poszli. Porucznik wiódł natarcie
na bunkier zatajony w lesie,
na faszystowskie kretowisko.

Ich kroki nieraz w nocnej ciszy
przez tysiąc kilometrów słyszysz
i chociaż z świata zamglonego
wiatr płynie i pochmurność ciężka,
wiesz, że spokojnie możesz zasnąć,
że snu twojego dobrze strzegą
polscy żołnierze z Bezpieczeństwa.

*

Na bunkier! Za mną! —
Pobiegł pierwszy
jak piorun —
wtedy był piorunem —
i nagle ogień,
nagle śmierć.
Oficer polityczny runął.
Granatów gradem, ognia burzą
w czarnej, zakrzepłej strudze krwi
uderzył pluton.

*

Zza styczniowych obłoków
wychyliło się słonko,
zatrzymało się w polu
nad zmarzniętą jabłonką.

Dokąd lecą sokoły
w ośnieżonym powiewie?
Na czapkach srebro mrozu
świt zapali promieniem.

Poprzez jary, chojary,
przez gęstwiny jodłowe
wiozą groźne milczenie,
wiozą groźną żałobę.

Poruczniku — już świta,
poruczniku — już dnieje.

Wiozą groźną żałobę,
wiozą groźne milczenie.

Poruczniku — daleko,
za borami, za rzeką
dzieci idą do szkoły,
matka strawę gotuje,

w śniegu białym jak mleko
wiatr się pieni wesoły,
tańczy śnieżna ulica,
pąsowieją Marteny.

Twoja śmierć jest nie śmiercią,
jest natchnieniem dla życia.

Poruczniku — już świta,
poruczniku — już dnieje,
już przebiło się słońce
przez styczniową zawieję.

ZOFIA BYSTRZYCKA

O TYCH, KTÓRZY PRZYJADĄ NA ZLOT

STANISŁAW I JEGO MATKA

Siedzieliśmy w świetlicy, wysunęliśmy kilka krzeseł z rzędów, zamknęliśmy nimi krąg, aby lepiej widzieć swe twarze. Mrok gęstniał po kątach. Czerwień haseł na ścianach była już prawie czarna. Nie myśleliśmy o zapaleniu światła, ostatki jasności szły od kwadratu nieba za oknem. który miał w tej chwili kolor płytkiej wody morskiej.

Dziewczęta przebrały się po pracy: miały na sobie jasne kretonowe bluzki i spódnice o drobnych, zatartych półmrokiem wzorach. Chłopcy narzucili na ramiona marynarki, których zarys przy szyi znaczył biały brzeg koszuli. Od żarzących się punkcików szedł zapach dymu. Przez wielkie otwarte okna płynęła falami silniejsza od dymu bliskość kwitnącego, dzikiego bzu.

W tej ciszy na postawione przez kogoś pytanie niezdarnie formułowałam słowa o nowej Warszawie. Spoczywała na mnie wielka odpowiedzialność wywołania obrazu, który miał im dać wizję nigdy nie oglądanej stolicy.

Teresa Nowak nie czeka, aż skończę:

— Często oglądam w gazetach ulice Warszawy. Tramwaje i autobusy, tyle ludzi na chodnikach. A na tej nowej Marszałkowskiej tak jest daleko od brzegu do brzegu ulicy. Aż się serce ściska. Ale na fotografii to wszystko się nie rusza, więc jak leżę wieczorem w łóżku, to widzę całą Warszawę w ruchu, kiedy to wszystko chodzi i jeździ. Pewnie trzeba krzyczeć, jak się mówi, prawda? — Teresa nie patrzy na mnie, tylko przez okno, w przestrzeń, która pomaga wyobraźni.

— A dla mnie najciekawsze ze wszystkiego to są ludzie z Warszawy. Pogadać, na przykład, z robotnikiem warszawskim, ale nie starym, tylko takim w moim wieku. Może by się trochę ze mnie śmiał, bo ja najdalej, to byłem w Poznaniu. — Ten wysoki chłopiec o spalonych jak zboże na słońcu włosach patrzy bokiem na mnie, czeka na zaprzeczenie.

— Nie, robotnik warszawski nie będzie się śmiał, na pewno, kiedy spotka ZMP-owca z Pławiec. Przecież trzeba kiedyś po raz pierwszy zobaczyć Warszawę!

Kiwają głowami, ale nie wiem, czy ich przekonałam. Z kilkudniowego doświadczenia wiem, że wyjazd na Zlot do Warszawy jest niekiedy całym problemem psychicznym. Że niejeden z nich wolałby może zrezygnować z pobytu w Warszawie niż spotkać się oko w oko z nieznanym, groźnym olbrzymem, jakim jest wielkie miasto. Chodzi po nich ta obawa, której nawet przed sobą nie nazwaliby po imieniu. Ale na szczęście w tym wieku ciekawość jest silniejsza od lęku przed nieznanym.

Była już prawie dziewiąta, kiedy wyszliśmy przed pałac. Niebo nabrało koloru morskiej głębi, wypłowiałej na zachodzie w rude pasma chmur. Pogoda na jutro była niepewna. Po obu stronach drogi jaśniały białym światłem okna zagród. W zeszłym roku założono w spółdzielni elektryczność. Było cicho, już pusto, z któregoś okna w tej ciszy szedł ku nam głos dziennika wieczornego z Warszawy. Przed czerwonym, prawie klasztornym murem pałacu — dzisiaj szkoły i świetlicy — rozeszliśmy się w dwie strony.

Szłam z Marysią Strugałą i jej bratem, mieszkaliśmy w tym samym końcu wsi. Mówili o przerywce buraków, które się ładne, tylko w nocy mało rosną. Bo kto widział takie noce w czerwcu! Marysia była zła na te zimne noce. Patrzyłam na jej jasną, zupełnie nieopaloną twarz o wysokich i prostych, ciemnych brwiach.

Wtedy usłyszałam szybkie kroki za nami i głos trochę zdyszany, jak po walce z własną nieśmiałością:

— Powiedzcie, koleżanko, a ten Pałac Kultury i Nauki, to naprawdę będzie gotowy za trzy lata? Widziałem w gazecie, drzewa koło niego są takie malutkie... — spojrzałam. Był to ów wysoki, najwyższy ze wszystkich, z którymi siedziałam przed chwilą w dawnym salonie niemieckiej dziedziczki.

Może dlatego, by lepiej porównać wielkość tamtego budynku, patrzył teraz w górę, na ogromne konary drzew piętrzące się nad drogą na tle pierwszych gwiazd. Po chwili spojrzał na mnie i oczy wydłużyły mu się w uśmiechu:

— Chciałbym zobaczyć te maszyny, które pomagają przy takiej budowie...

Słuchał, potem pochyliwszy głowę, patrzył na piaszczystą drogę pod stopami i nie podnosząc głowy rzekł już przy pożegnaniu, bez uśmiechu:

— Chciałbym także, wiecie, zobaczyć Prezydenta...

*

Następnego dnia było zebranie ZMP, na którym mieli być wytypowani delegaci na Zlot. Zebranie odbyło się w tej samej świetlicy, w której spotkałam wczoraj moich nowych znajomych.

Nauczona warszawskim doświadczeniem, przyszłam na zebranie parę minut po 19,30 i trochę się skompromitowałam: okazało się, że w w spółdzielni produkcyjnej im. Marszałka Rokossowskiego, gromada Pławce, zebrania zaczynają się punktualnie.

Kiedy wsunęłam się bokiem do świetlicy, byli już wszyscy: 15 zetempowców siedziało w bliższych krzesłach. Siadłam w kącie koło młodego agronoma, który przyjechał na zebranie z powiatu w charakterze „góry".

Dzisiaj, nie czekając na ciemność, zapalono światło, na ścianie widniało hasło przyszyte trochę nierówno: „Z dorobkiem pracy i pieśni na Zlot". Było inaczej niż wczoraj, trochę oficjalnie i uroczyście. I młodzież siedziała jakoś sztywniej w porządnie ustawionych krzesłach. Popatrzyłam na nakryty czerwienią stół prezydialny i na chwilę przestałam pisać: za stołem siedział ten sam wysoki chłopiec, który wczoraj wieczorem dopędził nas, choć mieszkał w drugim końcu wsi, aby zadać tamto pytanie. W elektrycznym świetle połyskiwało gładko jego białe czoło. Uśmiechnął się do mnie.

Zebranie uporało się szybko ze wstępnymi punktami porządku dziennego i przystąpiło do typowania kandydatów na Zlot.

Padały nazwiska, zapisywałam je:

— Urbaniak... Strugała Maria... Nowak Teresa... Rauchut Stanisław... Michalski Stefan...

Spojrzałam na Marysię Strugałę, kiedy padło jej nazwisko. Jej szczupła, nieopalona twarz była nieruchoma, patrzyła z jakimś wysiłkiem w ścianę nad stołem prezydialnym. Tylko wysokie, proste brwi wzniosły się jeszcze wyżej na czoło.

Przypomniałam sobie łamiący się krzykiem głos jej matki, kiedy wołała do mojej gospodyni:

— Córki do Warszawy nie puszczę! Chłopiec to jeszcze może, ale dziewczyna w taką drogę?! Dwieście tysięcy obcych ludzi, mówią. Ona młoda, pewnie chce, choć matce nie odpowie, ale nawet, jeśli ją wybiorą, to też nie puszczę, niech się dzieje co chce! Tylko moje dziecko, niczyje, tylko moje, nie puszczę... — Słyszałam jej wysoki głos. Nie wyszłam do niej. Może to moja słabość, że nie potrafię jej przekonać, a może mój lęk przed jej matczynym lękiem? Wiedziałam od ludzi, jak bardzo kocha swą córkę.

Teraz patrzyłam na twarz Marysi. Co się w niej mogło dziać? Widziałam z boku tylko jej nieruchome powieki i owe wysokie, napięte brwi.

Tymczasem odbywało się głosowanie. Znowu zapisywałam w swoim zeszycie: Urbaniak 2 głosy, Michalski 4 głosy, Strugała Maria 3 głosy, Rauchut Stanisław 10 głosów...

Kiedy padły na Marysię 3 głosy, los jej został przesądzony. Głosów dostała za mało. Lęk jej matki zatrzymał ją przed podróżą, nie chciano głosować, żeby potem nie odmówiła, chociaż była przodownicą pracy i na wyjazd zasługiwała. Widziałam, jak powoli opuściła głowę, patrzyła teraz na swe dłonie złożone na kolanach. Nie wiem, ile w tym ruchu było ulgi, a ile smutku.

A potem zapytałam agronoma:

— Który to ten Rauchut? Taka różnica, aż dziesięć głosów!

Agronom na to pedantycznie:

— Nie Rauchut, tylko Stanisław Rauchut, bo Rauchutów w spółdzielni jest pięciu, więc wszystko może się wam pokręcić, jak imion stawiać nie będziecie. Ja sam na początku nie mogłem się znaleźć w tych Rauchutach — westchnął, ale wskazywać mi Stanisława Rauchuta już nie musiał, bo wysoki chłopiec zza stołu prezydialnego mówił do sali ze zwężonymi uśmiechem oczyma:

— Proszę koleżeństwa, dziękuję za zaufanie, żeście mi pozwolili zobaczyć Warszawę, Prezydenta i Dom Kultury i Nauki. Chcę wam powiedzieć, że zobowiązuję się przekazać wam wszystko, co było na Zlocie. Chcę, żebyście nie żałowali swego wyboru.

Stanisław Rauchut mówił trochę pośpiesznie, gładził sobie za uchem żółte włosy. W sali słychać było jedynie jego głos i szum drzew za wielkimi pałacowymi oknami. Szła chłodna, niepodobna do czerwcowych, noc, podczas której nie chciały rosnąć buraki.

*

Tak znalazłam „postać Zlotowca", a następnego dnia udałam się wieczorem — wszystko w spółdzielni dzieje się wieczorem, kiedy kończy się praca w polu i na podwórzu — do domu Stanisława Rauchuta.

Właściwie nie do domu, tylko do czworaków, z których młoda spółdzielnia jeszcze go wydobyć nie mogła.

Na podwórzu pełno było już sennych, chodzących gromadami kur i bardzo podobnych do siebie, jasnowłosych i brązowych dzieci.

Przy komórce rwał się na łańcuchu pies, napełniając powietrze



Delegat na Zlot Stanisław Rauchut

przeraźliwym jazgotem. Dzieci popatrzyły na mnie, zbiły się w stadko i truchtem pobiegły za budynek. Ale zatrzymały się zaraz za rogiem i zaczęły mnie podpatrywać. Jedynie kury nic sobie nie robiły z mego przyjścia i spacerowały wolno, prowadzone przez koguta z wypiętą piersią.

Od studni szła kobieta z dwoma wiadrami, kołyszącymi się na nosidłach. Była mała i szczupła, szła drobnym kroczkiem pochyliwszy nisko głowę w ciemnej chustce.

Stałam przed drzwiami patrząc nieufnie na bardzo zdenerwowanego kundla, potem usłyszałam:

— Fidel, a pódziesz! — i od razu zrobiło się cicho. Przede mną stała matka Stanisława Rauchuta.

Weszłam za nią do izby. Ogarnął nas półmrok i rozgrzane powietrze, firanki były pomarańczowe od kończącego się dnia. Na ścianach pęczki świętych obrazków, a na miejscu honorowym dyplom Stanisława, który dostał za uprawę buraka cukrowego na swej pierwszej ziemi — po parcelacji. Uzyskał „zbiór korzeni 368 q, a liści 277 q z hektara". Zdobył pierwsze miejsce w powiecie.

Dostał wtedy premię, trzy metry wełny na ubranie, dętki do roweru. Teraz w niedzielę w tym ubraniu na rowerze sobie jeździ. Pewnie, już kawaler, ale żenić się nie chce, bo czy mu źle w domu? To dawniej, jak miał dwadzieścia lat — każdy mój syn z domu uciekał, bo myślał, że mu na swoim lżej będzie... — Matka uśmiecha się smutnie, zaprasza mnie na kanapę. Sama przysiada boczkiem na krześle, wsuwa siwe kosmyki pod chustkę.

— Dawno pani w tym mieszkaniu? — pytam patrząc na cztery wysoko zasłane łóżka, na radio w kącie, na pstry abażur pod sufitem.

— Trzydzieści dwa lata. Już nie pamiętam, że gdzie indziej się urodziłam. Ale pani myśli, że tak tu przedtem było? Dawniej, proszę pani, było tak: niby izba ta sama, tylko ściany były z gliny, okna jak w oborze, malutkie, wcale się nie otwierały, bez pieca, bo komina nie było. Podłoga z ziemi, łóżka nam pogniły od wilgoci. W tym budynku miała być owczarnia, ale pan ludziom oddał, bo mu się lepiej kalkulowało. Jak synowie w mieście pracy chcieli szukać, to pan ich nie puścił, zagroził, że albo wszyscy będą u niego pracować, albo nas wyrzuci, bo nas starych trzymać tu nie będzie. Jak dzieci chciałam do szkoły posłać, to przysyłał po nie, żeby gęsi pasły albo w pole szły, bo mu się nie kalkulowało.

Matka trzyma ręce na kolanach, mówi już nie pytana, potrzę na te ręce i myślę, że to nieprawda, kiedy się mówi: „urobiłam ręce po łokcie".

— Tak, pani. Widzi pani, te ręce wszystko zrobią, to tylko oczom czasem straszno, ale ręce są silne jak żelazo, nie zetrą się, sześćdziesiąt cztery lata pracuję i jeszcze teraz zrobię wszystko, choć już i pomoc mam ze swoich. Mój stary też bardzo zmęczony, ale co pani myśli, czy usiedzi w domu? Codziennie biegnie do spółdzielni, mówi, że w domu, to nie robota. Zna pani mego starego? — Staruszka patrzy na mnie ciekawie, w jej pytaniu słyszę wyraźnie nutkę dumy z męża.

— Czy taki wesoły, z wąsami, grupowy brygady podwórzowej? — udaję, że nie jestem pewna, choć znam już starego.

— Właśnie, widzi pani. Jego każdy zna. Był jednym z pierwszych, którzy się do spółdzielni zapisali. Bo, proszę pani, jemu nie trzeba było nic mówić, to on innym jeszcze mówił, jak żył przedtem. Znamy biedę, oj, i jak znamy!

Matka wzdycha ciężko. Drzwi otwierają się wolno i do izby wsuwa się dwoje z tej gromadki lnianobrązowych dzieci z podwórza. Widać, że są tu jak u siebie w domu, włażą od razu na kanapę obok mnie.

— Wnuczki? — pytam, widząc tę poufałość.

— E, nie, to sąsiadki, tylko do mnie często przychodzą, kiedy matka w polu.

— A pani ile miała dzieci?

— Dziesięcioro. Stary na wojny chodził, więc ja często sama byłam, a koło mnie drobiazg jak pisklęta. Od czwartej rano do nocy pracować musiałam. Dzieci głodne biegały, spódnicy się czepiały, a ja im po kawałku chleba rano dam, resztę bochenka pod pierzynę chowam, żeby nie znalazły, i lecę na cały dzień do roboty. Żyta od dziedziczki dostałam na kwartał tyle, że mi akuratnie na półtora miesiąca wystarczało. Pracuję w polu, a wciąż myślę, że głodne moje dzieci siedzą, na ręce mi się w obiad znów patrzyć będą. Młodsze, jak Staszek, co to go pani opisuje, to płakały, bo jeszcze nie nauczone były, nie rozumiały, że dopiero wieczorem znów kawałek chleba dostaną. A kwartał, proszę pani, ma trzy miesiące, to potem musiałam żyto za pieniądze kupować...

— Żyto kupować? — zdziwiłam się.

— A tak, od kupca, co po wsiach jeździł i takim, jak my, bez roli, sprzedawał. A brał, ile chciał, więc wszystkie pieniądze na jedzenie szły. Latem to było lepiej, z dziećmi na pole szłam, kłoski co zostały zbierałam, potem na kamieniach na mąkę tarłam. Ale w zimie to było ciężko: w izbie ciemno, bez powietrza, bez komina, już pani mówiłam, ale o tym zapomnieć trudno... Po ścianach woda cieknie, a dzieciom nogi szmatami owijałam, kiedy na dwór szły. Ech, proszę pani, dużo by mówić, już moje dzieci wiedzą, dlaczego do spółdzielni poszły.

W izbie jest coraz ciemniej, twarz matki pociemniała także, odruchowo gładzi główki skulonych na kanapie dzieci. Siedzą cichutko, ale nie śpią. Patrzą na mnie nieruchomo. Młodsze ma lśniącą od masła twarz, w ręku trzyma ogryzioną przylepkę. Zapomniało o niej, pewnie nie jest głodne.

— A teraz? — pytam, chcąc zawrócić jej myśli, które uszły w tamte lata.

Wtedy matka wstaje i, jak mimowolny symbol, zapala światło. Na izbę spływa z pstrego abażuru różowa, przytulna jasność. — Widzi pani — matka wskazuje na lampę. — Teraz mamy światło, a i w dzień jest jasno. Okna są duże, otwierają się. Radio mamy, kosztowało 1.150 złotych, zapłacone gotówką. Mam tylko sześć kur, ale 20 kurcząt, 13 gęsi, 12 kaczek. Dwie pierzyny usypałam, a latoś to poduszki zrobię córce. Mamy 3 świnie, 2 krowy i cetnar cukru w domu. Tucznika chowam na wesele i cielaka też...

— To Stanisław jednak się namyślił? — uśmiecham się.

— Nie, to dla córki, w jesieni pewnie będzie wesele. Niech wie, że z zamożnej rodziny spółdzielczej idzie. Mechanika od samochodów sobie znalazła. Porządny chłopiec, w niedzielę z powiatu tu przyjeżdża. Taki blondyn, widziała pani?

Niestety, nie widziałam. Blondyn! Ba, ale tu przecież wszyscy mają jasne włosy! A w niedzielę, kiedy się ubiorą, to jak odróżnić członka spółdzielni od mechanika z miasta?

— To znaczy, że pani córkę z pościelą wydaje. I takie przyjęcie weselne...

— Z pościelą? Pewnie, że z pościelą! Ale z meblami też!

Patrzę niepewnie na masywne, już nie tamte, przegnite od wilgoci, ale jednak stare łóżka, ledwie widoczne pod górami pierzyn.

— To nie te meble, co pani widzi — stara śmieje się uszczęśliwiona moim zaskoczeniem, aż siadła wygodniej ma swoim stołku. — Kupiliśmy jej całe umeblowanie. Po obrachunku przy końcu roku, kiedy zafasowało się pieniądze ze spółdzielni. Bo, proszę pani — mówi rzeczowo — kiedy mąż, syn i córka pracują w spółdzielni, to za pieniądze w zimie można kupić coś porządnego. Więc kupiliśmy te meble za siedem tysięcy złotych. Stoją u mojej młodszej synowej, bo tu miejsca nie mamy. Takie piękne, błyszczące meble, że jak palcem dotknąć, to ślad zostaje. U dziedziczki prawie takie kiedyś widziałam, ale z daleka, bo do pokojów nie puszczała.

— Więc nie tylko łóżka dostanie?

— Co tam łóżka! Owszem, łóżka też — wylicza stara na palcach — ale dwa nocne stoliki także, i stół, i sześć krzeseł, i szafa z trzema drzwiami i taka niby komoda, tylko że z lustrem na wierzchu.

— Toaleta — domyślam się.

— Aha, córka też tak mówi. — Za lustro zapłaciliśmy osobno, ale niech już będzie z lustrem. Młodym dom potrzebny, niech mają ładnie u siebie. My, starzy, z czarną biedą w parze życie przeszliśmy, ale oni już mają inaczej, takie czasy przyszły.

Matka milczy chwilę, potem zaczyna się kręcić na krześle. Widzę przez otwarte drzwi, jak wóz spółdzielni zrzuca przed drzwiami Rauchutów stertę „zielonego" dla krów.

Nagle jakby sobie coś przypomniała, bo siada znów spokojnie i na głos się dziwi: — Stara jestem, ciągle o tym myślę, aż się dzieci śmieją. Bo przecież teraz kalendarzowo przednówek mamy. Niby przednówek, a tymczasem ziarna nam wystarczy do lutego! Takiego przednówka, jak w tych dwóch latach, to nie pamiętam! Staszek się może śmiać, pewnie, nie pamięta, jak głodny po kątach szukał, ale moje serce tamte lata pamięta. Chodziłam nieraz do pani, kiedy już świata od łez nie widziałam, o pomoc prosiłam, ale zaraz mówiła, że nas wyrzuci, bo z drobnymi dziećmi miejsce w czworakach zajmujemy. Bałam się strasznie, bo jeden w naszej wsi 2 miesiące pod gołym niebem siedział. Wyrzuciła go dziedziczka. Jedzenie w dołku gotowali, dzieci mokły jak kurczęta na deszczu, a na tamtych to policji nie było, prawa za krzywdę nie było. Więc cicho siedzieć musiałam i jeszcze w rękę całować panią dziedziczkę. — Kiwa stara głową, usta zapadły się jej głębiej, zacisnęły się w wąską jak sznureczek linię. — Często mówię o tym moim dzieciom, niech pamiętają, niech nie zapomną, niech szanują nowe życie.

Milczymy chwilę, potem stara zaczyna znów patrzyć na stertę przed drzwiami.

— A Stanisława coś nie widać...

Matka zagląda do szafy i mówi wyjaśniająco:

— Ubrania lepsze wiszą, więc nigdzie nie poleciał. Poszedł pewnie po robocie w spółdzielni na naszą działkę, do ziemniaków. On i córka, ostatni co jeszcze przy nas starych siedzą, zawsze mi wieczorem pomagają. Koło krów i świń zrobią, wody przyniosą, bo ja już troszeczkę zmarnowana jestem, krzyże bolą pod wieczór...

— Doczekaliście się pociechy z dzieci — komentuję może niepotrzebnie, ale wiem, że matce zawsze przyjemnie jest usłyszeć dobre o swoich.

Tego wieczoru poznałam życie delegata na Zlot, chociaż go nie spotkałam.

*

Następnego dnia zobaczyłam się ze Stanisławem Rauchutem, kiedy wrócił z pracy. Było już późne popołudnie albo wczesny wieczór, niebo mieszało kolory tych dwóch pór dnia.

W stajni, kiedy weszłam, nie ujrzałam już nikogo. Tylko konie jadły spokojnie, czasem rżały cicho. Ich okrągłe boki połyskiwały w niskim świetle zachodzącego dnia, niektóre odwracały łby i patrzyły na mnie swoimi brązowymi oczyma. Idąc głębiej usłyszałam cichą rozmowę i ujrzałam Stanisława Rauchuta. Samego wśród koni. Gładził im łby i mówił jakieś ciche słowa przyjaźni. Byłam zmieszana. Aby pokryć niezręczność chwili, zagadałam śpiesznie:

— Kolego, to świetnie, że was spotykam, chcę zrobić zdjęcie, jedziecie przecież na Zlot. Byłam wczoraj u waszej matki. Tylko musimy się śpieszyć, bo nam światło ucieknie.

Uśmiechnął się, przystał trochę zdziwiony, ale czułam, że się czegoś ociąga.

Rzekłam więc, wiedziona instynktem reporterskim:

— Wiecie, zrobimy zdjęcie wasze z koniem. Wiem, że pracujecie w grupie konnej więc będzie prawdziwiej...

Nie wiem, czy zrozumiał moje fachowe dociekania, ale ujrzałam, że oczy mu się jak zwykle zwęziły w uśmiechu i rzekł od razu gotowy na wszystko:

— O tak, koniecznie, niech będzie pamiątka. Pracuję z końmi, codziennie z nimi jestem, to niech na fotografii będzie razem.

Wyszliśmy na podwórze. Ja z aparatem, on prowadząc za uzdę konia.

W ostatnim słonecznym kwadraciku, nie osłoniętym jeszcze cieniem zabudowań, stanął przy boku towarzysza pracy i takim go przekazuję czytelnikom. Był w roboczym ubraniu, nie bardzo uczesany, narzekał:

— Nie wiedziałem, że będziecie robić zdjęcie, włożyłbym nowe ubranie i oficerki...

— To wszystko za zarobek spółdzielczy?

— Pewnie, a w tym roku kupię sobie ciemne ubranie.

— To na własny ślub, proszę pani! — rozległy się za nami roześmiane głosy i przed stajnią pojawiła się grupa dziewcząt. Były wśród nich moje znajome z zebrania ZMP.

— Tylko mnie nie swatajcie, już sam sobie dam radę. — Stanisław Rauchut nie wiedział, czy ma się złościć, czy śmiać. — To nasze panny na wydaniu, dlatego takie niespokojne — ocenił. — A same to się śpieszą! Meble sobie kupują, może nie? U nas w spółdzielni osiem rodzin sprawiło sobie takie meble, jakieśmy siostrze kupili. Matka pewnie wam mówiła, to jej wielka radość na stare lata — dokończył łagodniej, idąc z koniem w mrok stajni.

Dziewczęta znikły tak nagle, jak się ukazały. Po chwili stały już na pomoście stodoły. W podwórze wjeżdżał, kołysząc się ciężko wóz, naładowany czubato sianem. Zatrzymał się przed stodołą. W jego szarej zieleni błyskały białe chustki dziewcząt, czasem w jakimś zabłąkanym promieniu srebrzyło się przez mgnienie ostrze wideł.

Szłam powoli ze Stanisławem przez wielkie podwórze spółdzielni, otoczone z trzech stron niską krawędzią budynków. Mijali nas pośpiesznie ludzie kończąc pracę. Z biura wyszedł przewodniczący spółdzielni, Graczkowski, ujrzał nas i zbliżył się:

— Skończyliście ten kawałek na górce? Miałem pojechać do was, ale znów do powiatu wzywali. Znów na zebranie. Szkoda, że nie można robić przerywki buraka i sianokosów na siedząco — westchnął. Spojrzałam na niego ze zrozumieniem. Słowa jego wniosły w ten sielski krajobraz powiew z dalekiej Warszawy. Więc i spółdzielcom zjadała cenny czas szarańcza zebrań!

— Na górce skończyliśmy zaraz po południu. Potem jeszcze był czas, to się skosiło ten kawałek przy ziemniakach — odpowiedział Stanisław Rauchut.

— Dobrze. — Graczkowski odetchnął głębiej dymem. — Widzicie, towarzyszko, naszą młodzież, jej prosić nie trzeba. Oni ciągną naszą spółdzielnię, a naszą młodzież ciągnie przewodniczący ZMP — klepnął Stanisława po ramieniu.

Przed bramą zatrzymałam się jeszcze chwilę przy pożegnaniu:

— Ile dniówek miał kolega w zeszłym roku? — zapytałam.

— Około czterystu — rzekł niechętnie.

— Podobno najwięcej wśród młodzieży? — atakowałam dalej.

— Najwięcej — przyznał krótko i dodał: — Przecież nie będę w chałupie siedział, a jak się pracuje, to dniówki lecą, no nie?

Chciałam na to dodać, że to zależy od tego, jak się pracuje, ale zmieniłam temat:

— Więc zobaczycie Warszawę i budowę Pałacu Kultury i Nauki, koło którego drzewa będą takie malutkie...

Od razu się uśmiechnął swoim łatwym uśmiechem, który mu zwężał oczy w szparki:

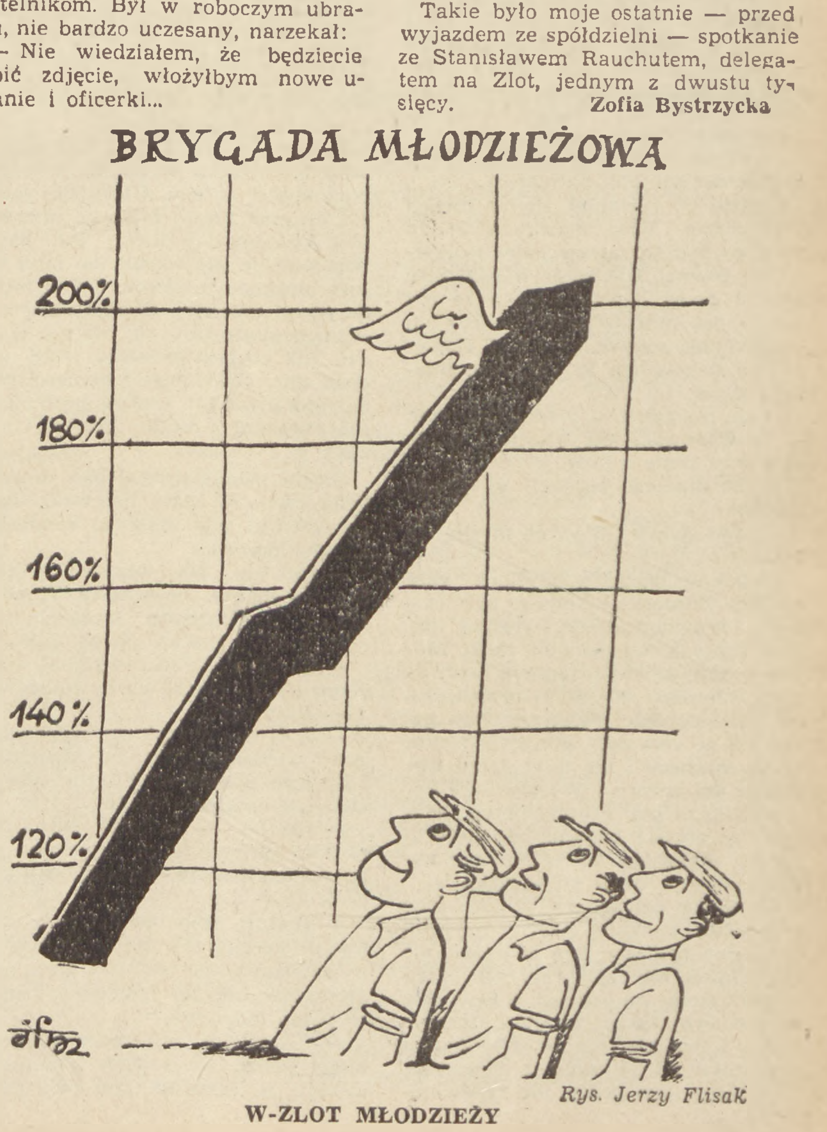
— To będzie wielka podróż. Przejadę się autobusem z końca w koniec Warszawy, już sobie postanowiłem. Dwieście tysięcy młodzieży! To przecież pięćdziesiąt razy więcej, niż ma nasze miasto powiatowe! — zdumiał się na nowo.

Podając mi rękę, rzucił:

— Do widzenia w Warszawie — pogładził za uchem swoje żółte włosy i poszedł, jak co wieczór, pomóc matce w pracy na działce przyzagrodowej. Szedł szybko, przepracowany dzień nie zostawił ociężałości w jego ruchach. Po chwili skręcił w wąską polną drogę, w cień zamknięty dwiema ścianami rosnących gęsto topoli.

Takie było moje ostatnie — przed wyjazdem ze spółdzielni — spotkanie ze Stanisławem Rauchutem, delegatem na Zlot, jednym z dwustu tysięcy.

Zofia Bystrzycka



Rys. Jerzy Flisak

W-ZLOT MŁODZIEŻY

LECH BĄDKOWSKI

Jego pierwszy pomysł

Pełny chwytak poderwał się do góry, przepłynął nad burtą i wkrótce zginął im z oczu za obramowaniem luku ładowni, przenosząc na stojący na nabrzeżu wagon pełne trzy tony rudy. Brygada dziesięciu robotników, rozsypana wokół ścian ładowni statku, szerokimi, żelaznymi hakami ściągała rudę bliżej środka, na gromadę, żeby ułatwić potężnym szczękom chwytaka objęcie następnej porcji grudziastego towaru.

Pogoda tego dnia była piękna. Z nieba lał się żar na port i miasto. W dusznej, zamkniętej przestrzeni ładowni lipcowa gorączka stała się tak intensywna, że pracującym w niej ludziom lepki pot występował na całym ciele. A południe dopiero się zbliżało.

Kreft rękawem otarł czoło, jeszcze bardziej przy tym rozmazał kurz i pył po twarzy. Spojrzał do góry. Chwytaka ciągle nie było. Widocznie dźwigowy zamarudził lub może zmieniali wagon, bo przerwa jakoś się wydłużała.

Przystanęli wszyscy, prostując zmęczone krzyże. Pięć godzin wytężonej pracy mieli już poza sobą; pozostały im jeszcze trzy — najskwarniejsze — do końca zmiany.

Wreszcie w ładowni rozległo się charakterystyczne dudnienie: dźwig pracował. Po chwili w ładowni ukazał się szybko opuszczany chwytak. Jednocześnie przez hałas przebił się ostrzegawczy okrzyk lukowego:

— Idzie!

Z zadartymi głowami przypatrywali się masywnemu zarysowi chwytaka, ważącego około tony. Lukowy z pokładu statku kierował jego ruchami, żeby nie zahaczył o pracujących w dole ludzi.

Robotnicy wiedzieli jednak z doświadczenia, że sami muszą zachować ostrożność, w ładowniach zdarzały się bowiem nieraz wypadki i przy najbardziej uważnych lukowych. Przecież dźwigowy, siedząc w swej kabinie na dźwigu nabrzeżnym, nie miał wglądu w głąb ładowni, a sterował chwytakiem za pośrednictwem wskazówek lukowego.

Oczy czujnie śledziły bieg chwytaka, kiedy szedł ostro na dół, na środek czworoboku, ale trochę bliżej — niż poprzednio — ściany przybrzeżnej.

Kreft, Urbaniak i Ciszewski cofnęli się wstecz pod ścianę. W tym momencie chwytak zatrzymał się przepisowo dwa metry nad poziomem ładowni i nagle — ruszył prosto na nich.

Kreft i Urbaniak uskoczyli w prawo, w róg ładowni. Ciszewski, zdezorientowany nieoczekiwanym zwrotem i zaskoczony bezpośrednim niebezpieczeństwem, zaczął biec w lewo, drapiąc się na stromy zwał leżącej rudy. Chwytak posuwał się za nim, jakby go ścigając. Parł szybko, doganiał człowieka. W locie rozwierał szczeki po nowy ładunek. Ciszewski pazurami piął się w górę, zaciekle, nieprzytomnie. Twarde grudy osuwały mu się spod nóg, udaremniały wysiłek.

— Ratunku... Rat...

Kreft i Urbaniak obejrzeli się za siebie. Chwytak bokiem przywierał już do ukośnej ściany rudy, wpijał w nią potężne szczęki. Wrzasnęli razem:

— Stój!

Robotnicy podjęli przerażony krzyk:

— Stój! Stój! Dźwig do góry!

Lukowy natychmiast zatrzymał dźwig, kazał otworzyć chwytak i podciągnąć go wzwyż. Wychylił się cały poprzez luk, szeroko rozwarte oczy wbił w półmrok niedostatecznie oświetlonej ładowni.

Po pochyłości rudowego zwału osunęło się ciało zabitego człowieka.

*

Inspektor pracy kończył już swoje dochodzenie.

— Więc powiedzcie mi jeszcze raz — zwrócił się do lukowego — dlaczego nie zatrzymaliście dźwigu, skoro pod samym niemal chwytakiem stało trzech ludzi?

— Mówię wam szczerą prawdę, nie widziałem ich. Jak patrzałem z góry, chwytak ich zasłaniał. Potem dwóch wyskoczyło, więc myślałem, że to wszyscy, boć to zawsze jeden drugiego się trzyma. Ciszewski musiał biec akurat przed chwytakiem, a że był trochę pod nim, to go nie widziałem — chwytak, mówię, zasłaniał. Dopiero jak usłyszałem krzyki, zatrzymałem dźwig.

— Ja myślałem — dodał Urbaniak — że Ciszewski leci razem z nami, stał przy mnie o krok.

— To dlaczego pobiegł w drugą stronę?

— Kto go wie... Pewnie myślał, że tak lepiej.

Inspektor ważył w myślach całą sprawę. Zeznania lukowego były całkiem prawdopodobne, zresztą potwierdzały je wyjaśnienia ludzi. Mówili o nim, że jest uważnym i ostrożnym człowiekiem, żaden raptus, życia ludzkiego nie lekceważy. Dźwigowy też go chwalił, pracował z nim wiele miesięcy i nie miał dotąd wypadku ani awarii. W dyrekcji Zarządu Portu byli o nim dobrego zdania, a zresztą badania psychotechniczne wykazały, że całkowicie nadawał się na swoje stanowisko.

Inspektor patrzał uważnie na jego sczerniałą, znękaną twarz. Wyrobił już sobie pogląd. Ten człowiek nie był winien, nie ciążyła na nim odpowiedzialność za śmierć kolegi. Nie można było także oskarżać dźwigowego, który kierowanie chwytakiem uzależniał od wskazówek lukowego. Zawinił system pracy, nie zapewniający dostatecznie bezpieczeństwa zatrudnionych w ładowni ludzi.

Przez chwilę trwało milczenie. Robotnicy czekali, co powie inspektor. Stał obok kierownika działu dźwigowego i jeszcze notował zeznania na kartce. Wreszcie odezwał się do wszystkich.

— Wy tu sami jesteście gospodarzami. Wy najlepiej znacie swoją pracę. Pomyślcie nad tym, jak to zrobić, żeby lepiej niż dotychczas zabezpieczyć w ładowni życie ludzkie. Tylko coś trzeba zrobić zaraz. W tym roku mamy już drugi wypadek w porcie, a to dopiero lipiec. Nie możemy czekać.

Robotnicy patrzyli na siebie w milczeniu. Pierwszy przemówił Buła.

— W porcie muszą być wypadki. Co byśta chcieli? Przy dźwigu to tak zawsze, taka twoja dola. U nas, w Gdańsku, jeszcze nie je tak źle jak w innych portach.

— Wcale nie, moi drodzy — gorąco zaprzeczył inspektor. — Wcale nie muszą być. Prawie wszystkie wypadki to albo niedbalstwo, albo lekkomyślność.

Stary Żelewski, przodownik brygady, od wielu lat pracujący w porcie, był doświadczonym robotnikiem.

— Dobrze mówita: niedbalstwo, lekkomyślność. Ale ja pracuję w porcie już 30 lat i wiem, że zawsze były wypadki. Dawniej więcej niż teraz. Jo, teraz to już nawet nie można narzekać. Pamiętam, w 1925 roku przy ładowaniu cukru na Motławie hiw się nam nad głowami rozleciał i dwóch zaraz umarło, a dwóch poszło do szpitala...

— To nic nie znaczy — zniecierpliwił się inspektor. — Pewnie, że dawniej było gorzej, ale kto wtedy dbał o robotnika? Wiecie dobrze, ile się zmieniło od czasów przedwojennych. Przecież przez burtę nie przejrzy, chyba żeby mu w niej dziurę wybili.

— Nic nie wymyślisz, Alojz. Siedzisz w porcie — ile? Dopiero kilka lat, to jeszcze nie wiesz. Młody jesteś...

Zagadali go zgodną opinią, że z wypadkami nie ma co walczyć. Pewnie, palcy lepiej nie wtykać między tryby, ale jak dachówka ma spaść na głowę, to spadnie i tak, żeby nawet chodzić z nosem zadartym do góry, żeby wybierać domy ze słomianą strzechą. Żelewski ani im przyświadczał, ani przeczył. Sam był głęboko przejęty zdarzeniem, chociaż pocieszał Krefta.

Potem zmienili temat. Taka już ludzka natura, że nie zatrzymuje się długo nad jednym.

Tymczasem Kreft ciągle przeżuwał swoje myśli. Wreszcie, niespodziewanie dla samego siebie, odezwał się, a mówił wolno i z zastanowieniem.

— Poczekajta. Gdyby tak zrobić jedną rzecz, to by trochę pomogło. Trzeba lepiej ludzi ustawić w ładowni, i żeby dźwigowy zawsze wiedział, gdzie oni są.

Zaskoczyły ich te słowa nieśmiałego, małomównego zwykle kolegi. Kto by przypuszczał, że Kreft będzie miał własne zdanie w tak ważnej sprawie i że będzie się przy nim upierał?

Buła zachichotał złośliwie.

— Czego się pchasz z pomysłami? Wyśmieją cię wszyscy. I robotnicy, i dyrekcja, i w komisji. Siedź cicho i rób swoje. Jesteś robotnik? Jo. To tyraj i fertych.

— Jestem robotnik. To co? Teraz robotniki mają więcej gadać, bo o nich chodzi. Słyszałeś, co na masówce gadali. Teraz mamy inne czasy.

— Na masówce gadali, co chcieli. Musimy robić wszystko, żeby życie było chronione, i wy sami powinniście o to dbać. Pomyslcie nad tym.



Rys. Irena Kuczborska

Kiedy po trzeciej szli na dworzec, mówili o wypadku Ciszewskiego. Buła powtarzał swoje.

— Jak człowiek w porcie pracuje, to już trudno. Gdzie to kto widział, żeby w porcie nie było wypadków? Przy wagonie mało dostało rozhuśtanym łańcuchem po głowie? W ładowni mało zginęło?

— Ja już też byłem w szpitalu — dodał Urbaniak — jak zleciałem z taczką z kładki, dwa metry wysoko.

— Co tu gadać — mruknął Łabuda. — Mają tam nowe wynalazki, takie-owakie, a gdzie jest człowiek i maszyna razem, to już zawsze coś się musi stać. Nie tobie, to innemu, albo mnie... Szkoda Ciszewskiego, fest był chłop. Zostawił kobietę i troje dzieci, ciężko im teraz będzie.

Żelewski pykał krótką fajeczkę, ze szczętem niemal wypaloną w czasie wieloletniej służby. Głosu nie zabierał, chociaż temat żywo go interesował. Drugim milczkiem był Kreft. Nigdy wiele nie mówił, bo miał naturę nieśmiałą i wykonywał cicho, co do niego należało. Słyszał dobrze, o czym dyskutowali, ale się nie wtrącał. Tak go przysposobiło całe wychowanie. Miał zresztą dopiero dwadzieścia kilka lat, jeszcze się nie ożenił, mieszkał z matką, bratem i jego żoną w Pruszczu.

Ciągle jednak myślał nad słowami inspektora. Aż stary Żelewski, który go poważał jako dobrego robotnika, zapytał wprost:

— Co się tak sumujesz, Alojz? Szkoda chłopa, bo szkoda. Trudno, taka dola. Każdemu może się zdarzyć, ale nie martw się na zapas.

— Ja nie tylko to... — zaczął wolno Kreft. — Ja myślę, co by tu zrobić...

— Niby co?

— Z tym chwytakiem, żeby dźwigowy wiedział, gdzie go opuszczać. Inspektor dobrze mówił, my by musieli coś wykombinować.

— Ho, ho... — zaśmiał się Urbaniak — patrzcie tylko, Alojz chce być za racjonalizatora. Myślisz, że dadzą ci premię?

— Dadzą albo nie dadzą, a rację mają. Przecież tak nie może być, żeby dźwigowy nie wiedział, gdzie opuszcza chwytak, jak naokoło w ładowni pełno ludzi stoi.

— Człowieku, jak może wiedzieć, kiedy siedzi w swojej kabinie na dźwigu, a ładownia pod pokładem?

— Patrzcie go, jaki Kreft mocny...

— Za dyrektora zostaniesz.

— Dzień dobry panu dyrektorowi. Zgaga nie piecze?

— Wyśmieją cię, zobaczysz.

Słowa kolegów stropiły Krefta. Umilkł. Dopiero Żelewski ujął się za nim.

— Gadaj, Alojz, oni ciągle skwierczą. Może powiesz co rychtyg.

Ale Kreft się zaciął.

*

Następnego dnia mieli dłuższą przerwę w pracy, bo zmieniali statek. Kreft skorzystał z okazji i poszedł do kierownika dźwigów.

Gdy wrócił na nabrzeże, cała brygada była już na statku.

— Gdzieś ty błądził, Alojz? Matka jeść ci dawała?

— Miałem swój interes — postawił się.

— Czas już — zawołał Żelewski. — Złazimy do luku.

Praca szła wolniej niż wczoraj. Dźwigowy ostrożnie opuszczał chwytak, dawał sobie [illegible]y razy powtarzać znaki. Lukowy chodził wokół obramowania luku i ciągle liczył ludzi, rozproszonych naokoło ścian, żeby mu się który w ciemnym kącie nie zapodział.

Dziwne myśli chodziły po głowie młodego Krefta. Może się uda, może się naprawdę uda! Zawsze czuł się tylko zwykłym, skromnym robotnikiem, o niewielkim doświadczeniu w pracy portowej. Gdzieby się tam odzywał nie pytany. Jeszcze ojciec mówił mu, kiedy jako 12-letni chłopiec zaczynał zarobkować przed wojną:

„Rób tylko swoje i do niczego się nie wtrącaj. Gdzie cię postawią, tam stój. Żebyś zawsze coś zarobił i przyniósł do domu..."

Były to dosyć dawne czasy, prawie trzynaście lat temu. Jak mu wtedy kazali, tak też postępował, chociaż potem wiele się w porcie zmieniło. On sam niejeden raz widział takie rzeczy, które chciałby zmienić — i wiedziałby jak! Ale po co o tym mówić przełożonym — im zawracać głowę, a samemu tracić czas. Owszem, bywało na zebraniach ZMP lub na naradach roboczych — już chciał zabrać głos, ale zanim odważył się podnieść rękę, kończono dyskusję. Taka kaszubska natura.

Aż dopiero teraz, przy wypadku Ciszewskiego. Utkwiły mu w głowie słowa inspektora pracy, kiedy mówił do nich, do robotników:

„...Wy tu gospodarze. Wy najlepiej znacie swoją pracę. Pomyślcie nad tym, co trzeba zrobić..."

Dudniące odgłosy dźwigu wypełniały zamknięte wnętrze ładowni, kiedy opuszczał się i podnosił chwytak. Nadawały one równy, chociaż w stosunku do dnia poprzedniego znacznie zwolniony rytm pracy. Mniej więcej po dwu godzinach dźwig niespodziewanie stanął. Nawet lukowy nie sterczał nad otworem ładowni, tylko odszedł dalej, zawołany widocznie na stronę. Robotnicy podsypali rudę na środek i czekali powrotu chwytaka, niezadowoleni z przerwy.

— Awaria, czy jaki diabeł?...

Dopiero po 10 minutach z pokładu doszedł ich głos kierownika dźwigów.

— Chodźcie tu wszyscy na górę. Tylko na moment.

Kreft czuł, że zbliża się jego chwila. Rumieniec oblał mu twarz. Dobrze, że w bladym świetle ładowni nie można było tego dostrzec, przy tym jeszcze kurz... Uda się czy nie uda? Będzie usprawniaczem czy nie? Jego pierwszy pomysł, pierwsze usprawnienie, proste i łatwe, ale przecież potrzebne!...

...Kiedy schodzili z powrotem na dół, niewiele ze sobą rozmawiali. Kierownik dźwigów, przedstawiciel dyrekcji Zarządu Portu i inspektor pracy wytłumaczyli im, co i jak. Pracować bezwzględnie po jednej tylko stronie ładowni. Nie wolno od niej odchodzić — nawet gdyby się zdawało, że chwytak jeszcze nieprędko wróci. Po tej samej stronie na pokładzie, na obramowaniu luku, będzie umieszczona czerwona chorągiewka, widoczna z daleka. Lukowy jest odpowiedzialny za jej właściwe ustawienie. Przejście na inną stronę ładowni tylko na wyraźny rozkaz brygadiera, po zawiadomieniu lukowego i przeniesieniu chorągiewki. Dźwigowy wie, że po jej stronie pracują ludzie i że tę stronę chwytak musi bezwzględnie omijać. W nocy chorągiewkę zastąpi czerwone światło.

Koledzy Krefta patrzyli na niego z podziwem. Co tu dużo gadać? Zwykle nieśmiały, taki młody jeszcze robotnik, a naprawdę im zaimponował. Pomimo żartów i docinków odważył się pójść do kierownika dźwigów ze swoim pomysłem.

Teraz żaden z nich już się nie śmiał. Nawet Urbaniak, tak zwykle skory do szyderstwa, powiedział tylko krótko:

— Ano, zobaczymy, jak można pracować po jednej stronie. Zobaczymy, ile nam to straci z zarobków.

— Nic — warknął Żelewski. — Można tak samo... — potem dodał już łagodniej: — Wynalazek, pewno, żaden, ale zawsze usprawnienie...

Chwytak wartko osunął się przed nimi. Zawisł nieruchomo na wysokości dwóch metrów, po czym podciągnął troszeczkę bliżej nich, kierowany znakiem ręki lukowego, i zaraz opadł w rudę. Jak tylko poderwał się do góry, rząd robotników zaczął szybko podsypywać rudę w miejsce, skąd przed chwilą zaczerpnął ładunku. Pracowali w milczeniu i solidarnie, jak gdyby z intencją nadrobienia poprzednich śmiechów i drwin.

W krótkim momencie urósł spory zwał rudowy, z którego chwytak łatwo mógł podjąć należną sobie porcję.

Tempo pracy znacznie się przyspieszyło już po godzinie. Robotnicy równo podrzucali rudę na jedno miejsce, lukowy mniej się denerwował i mniej tracił czasu na liczenie ludzi, a dźwigowy na sterze dokładnie wyregulował miejsce opuszczania chwytaka i manewrował nim z większą pewnością.

Z pokładu kilka par oczu czujnie śledziło przebieg pracy. Wreszcie po godzinie obserwacji kierownik dźwigów powiedział do przedstawiciela dyrekcji Zarządu Portu i do inspektora pracy:

— Dobrze idzie. Tak będzie lepiej niż przedtem. Wydajność na pewno się nie zmniejszy, może nawet zwiększy, a ludzie mają bezpieczniejsze warunki. W jeden, dwa dni możemy ten system wprowadzić do wszystkich brygad.

— Warto — powiedział z uznaniem inspektor. — Taki prosty pomysł, a taki dobry. Czemuż nikt dotąd na to nie wpadł? Który to jest ten usprawniacz?

— Widzicie go? O, ten, blondyn, który teraz ociera sobie twarz rękawem.

— Kto to taki?

— A z Pruszcza. Kreft się nazywa, zawsze taki nieśmiały. Ma chyba ze dwadzieścia pięć lat.

— Zajmijcie się nim. A nuż jeszcze coś wymyśli? I trzeba załatwić mu premię.

— No, teraz już on wpadł w nasze ręce... — odezwał się przedstawiciel Zarządu Portu. — Weźmiemy go do klubu, dostanie pomoc. Będzie mógł pracować nad usprawnianiem organizacji pracy, bo widzę, że go ciągnie do tego.

— Nie mamy tu po co dłużej stać — zakończył kierownik dźwigów. — Przyjdziemy jeszcze wieczorem na drugą zmianę, spróbujemy z czerwonym światłem w miejsce chorągiewki. Ale to już tylko dla formalności.

*

— Bo widzisz — mówił Kreft do swego brata w domu — od dawna myślę, że te nasze szufle do rudy to na nic. Już im się od kilku dni przyglądam. To by nie był żaden wynalazek, tylko tak, wiesz... Do rudy trzeba innego kształtu i innego wygięcia, o, tak...

Lech Bądkowski

Z Wystawy Młodych Plastyków



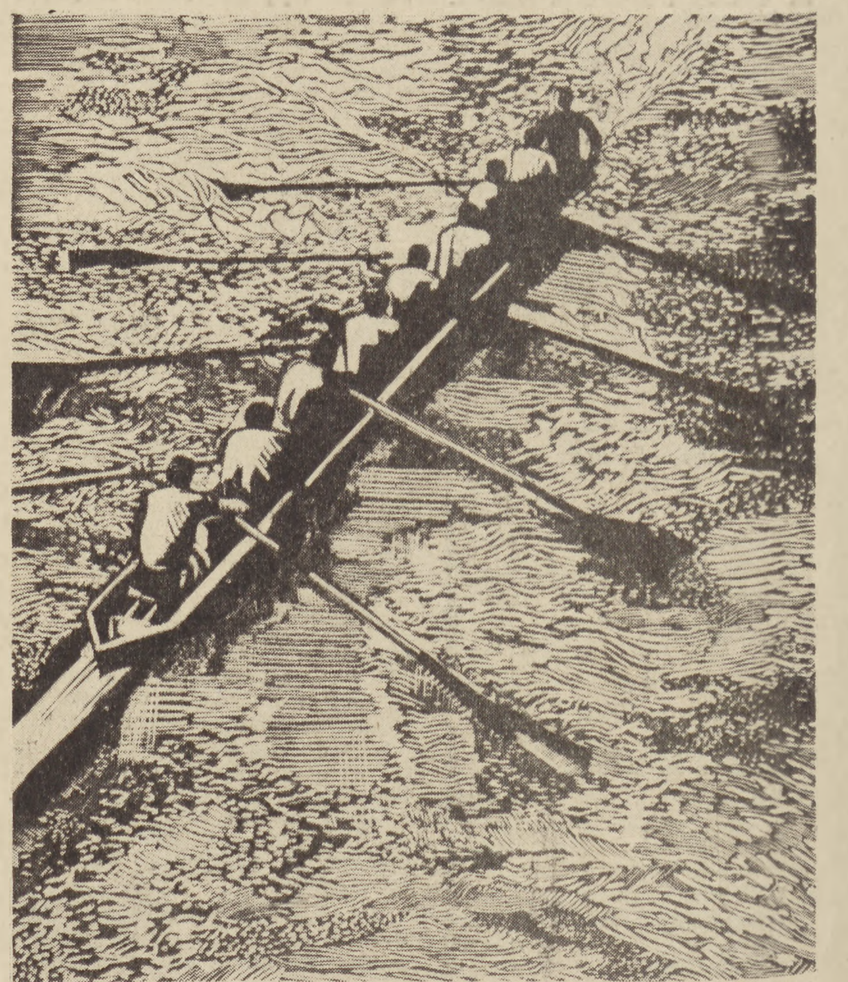
Kreślarka — *Gabriela Obremba*



Powrót ze szkoły — *Maria Mackiewicz*



Ilustracja do „Poematu Pedagogicznego" Makarenki — *Katarzyna Latałło*



Ósemka — *Edmund Piotrowicz*

ROMAN ZIMAND

Cztery listy o Wielkiej Księdze Pokoju

DO KIEROWNIKA WYDZIAŁU PROPAGANDY KP W S.

Droga Towarzyszko!

Wybaczcie ten list od człowieka, którego zaledwie znacie z kilku spotkań na tak zwanej „urzędowej płaszczyźnie". Przyczyny, dla których piszę do Was są dwie: pierwsza to nowa książka Ilii Erenburga „Dziewiąta fala", która ukazała się w kilku kolejnych numerach radzieckiego miesięcznika „Znamja". Druga przyczyna to jedna z naszych rozmów, w czasie której powiedzieliście mi, że dziennie pół godziny staracie się poświęcić na czytanie literatury pięknej. Ta właśnie rozmowa ośmieliła mnie: po przeczytaniu powieści Erenburga postanowiłem do Was o niej napisać.

„Dziewiątą falę" musicie koniecznie przeczytać. To wielka księga pokoju — myślę, że takie określenie możliwie dokładnie mówi, co to za powieść. Znajdziecie w tej książce encyklopedię walki o pokój. Zaczyna się ona w 1948 roku i kończy w 1951. Ale znaczenia jej nie można wykreślać datami. I to nie tylko dlatego, że będąc dalszym ciągiem „Burzy" powieść sięga tym samym wstecz poza 1948 rok. Daty nie mogą tu wszystkiego powiedzieć. Na około 700 stronicach mieści się niemal cały świat. Związek Radziecki, Polska, Czechosłowacja, Niemcy, Szwecja, Francja, Włochy, Stany Zjednoczone, Chiny, Korea — oto kraje, w których przebiega jej akcja. Amerykański wywiad i Kongres Pokoju w Warszawie, parlament francuski i odbudowa Mińska, intrygi burżuazyjnych dziennikarzy i zbiórka podpisów pod Apelem Sztokholmskim — to zaledwie drobna część spraw, o których pisze Erenburg.

Ale najważniejsze w tej książce — to ludzie. Jakich wspaniałych ludzi poznacie, towarzyszko, czytając „Dziewiątą falę". Na przykład inżynier Krenz. Zwrócicie zapewne, czytając, uwagę na natchnienie pracy właściwe temu człowiekowi. Dawniej, w ramach burżuazyjnego widzenia świata, natchnienie było czymś właściwym tylko artystom lub... kaznodziejom. Erenburg wspaniale pokazuje na przykładzie Krenza skutki wyzwolenia pracy w społeczeństwie socjalistycznym. Krenz to piękna ilustracja słynnej stalinowskiej tezy: można tak pracować, ponieważ życie stało się weselsze, ponieważ praca stała się sprawą honoru i chwały.

Takich ludzi jak Krenz jest w „Dziewiątej fali" wielu. Amerykańska aktywistka partyjna Betty, niemiecki robotnik-komunista Erich i inni. Lżej i radośniej robi się człowiekowi na duszy po przeczytaniu tej książki; przecież jest oczywiste, że tych wspaniałych, prawdziwych ludzi pisarz wziął z życia, że jeśli lepiej popatrzeć, to takich Natasz, Krenzów czy Erichów znajdziecie wokół siebie mnóstwo.

Prawdziwi są również wrogowie pokoju: Law, Roberts, Nivelle, Coster. Nie chcę Wam psuć przyjemności czytania i nie streszczam akcji powieści. Zresztą wątpię, abym to mógł dobrze zrobić. Ale gdy weźmiecie tę książkę do ręki, proszę, zwróćcie uwagę na to, że właściwie żaden z występujących w niej podżegaczy nie jest panem losu. Stosuje się to nie tylko do zależnego od kaprysów szpiegowskiej agencji prasowej Billa Costera, ale i do wysokiego urzędnika wywiadu Robertsa i do senatora Law. Dzieje się tak nie dlatego, że w „Dziewiątej fali" nie są opisani władcy koncernów i trustów, fordy i duponty. Ci bowiem też nie są wolni; robią nie to, co chcą, lecz co przypada im w udziale jako wypadkowa działania tego prawa ekonomicznego, które mówi o rozbieżności między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji w warunkach imperializmu.

W „Dziewiątej fali" znajdziecie „głupich" podżegaczy wojennych (taki jest dewota Law) i „mądrych" (pułkownik Roberts), ale w istocie różnice między nimi są drugorzędne, ani jeden, ani drugi nie jest w stanie opanować biegu wypadków, co nie znaczy, że przestali być niebezpieczni. Historyczna impotencja burżuazji i nieuchronność światowego zwycięstwa socjalizmu — oto podstawowa perspektywa książki Erenburga.

Być może czytając wspaniały opis Kongresu Pokoju w Warszawie po-



Ilia Erenburg

myślicie z żalem: jaka szkoda, że tak mało tu naszego miasta. O ile wiem, byliście w tym czasie w Szkole Wojewódzkiej i wiecie, co w tych dniach przeżywała Warszawa. Szkoda, że Erenburg pokazał jedynie ukryty w mroku wieczornej manifestacji tłum na placu Zwycięstwa. To chyba jeden z nielicznych braków tej książki. Myślę, że odczuwać go będziemy nie tylko my — Polacy, ale inni również.

Przeczytajcie tę książkę koniecznie. Jestem pewien, że pomoże ona Wam w pracy; i to z dwóch względów.

Po pierwsze da Wam masę materiału, który można wykorzystać w pracy propagandowej. Erenburg nie lubi łatwizn. Znajdziecie w „Dziewiątej fali" polemikę z najróżnorodniejszymi argumentami „tamtej" strony. Ta książka to kopalnia faktów, przykładów, problemów. Raz jeszcze napiszę — to encyklopedia walki o pokój.

Ale „Dziewiąta fala" pomoże Wam również i dlatego, że łatwiej jest żyć i pracować mając świadomość tego, że ludzie potrafią tworzyć takie rzeczy. Bo przecież pisarz to taki sam człowiek jak inni — tyle że widzi trochę więcej i czuje trochę mocniej...

DO TOWARZYSZKI-FILOZOFA

Pamiętasz naszą dyskusję o Erenburgu, którą prowadziliśmy niemal rok temu. Zaczęło się od tego, że powiedziałem Ci o tym, iż w „Ogońku" ukazały się fragmenty nowej powieści Erenburga, że powieść ta będzie dalszym ciągiem „Burzy", że w „Dziewiątej fali" występują profesor Dumas, Mado, Nivelle. Rozmawialiśmy wówczas długo o „Burzy" i oczywista o Mado, Dumasie i doktorze Kryłowie. Utkwiła mi w pamięci jedna myśl wypowiedziana wówczas przez Ciebie: „niewielu jest — powiedziałaś — pisarzy współczesnych, na których książki tak by się czekało".

Na pewno niewielu.

Niedawno powiedziałaś mi, że zaczęłaś czytać „Dziewiątą falę" w „Literaturze radzieckiej". Wiesz już więc, że obok starych znajomych postaci z „Burzy" Erenburg stworzył nowych ludzi: profesora Szebarszina, senatora Law, dziennikarza Sablona...

O tej powieści można napisać obszerną rozprawę, ale teraz chcę napisać o jednej tylko kwestii. O dialektyce.

Powieść Erenburga jest poświęcona walce o pokój. Akcja toczy się **głównie** w czterech krajach: w Związku Radzieckim, w Stanach, we Francji i Zachodnich Niemczech. Książka jest naprawdę zaludniona. Są w niej tłumy — w przenośni, ale i dosłownie. W przenośni — bowiem „Dziewiąta fala" mówi o sprawie najbardziej „masowej" — o pokoju, bo wyraża to, co myśli i czuje znaczna część ludzkości. Dosłownie — bowiem w samej powieści występuje tłum ludzi. Żona znanego ci z „Burzy" partyzanta „Czecha", krawiec Mac Corn, Murzynka Jenny, leśnik Nikitin, włoscy chłopi, radzieccy robotnicy i aktorzy, francuscy dokerzy i lekarze...

Kraje, sprawy i przede wszystkim ludzie — wszystko to u Erenburga spojone zostało w jedną całość, w której z trudnością doszukać się można nieznacznej choćby rysy. Pamiętasz oczywista uwagi Lenina z „Zeszytów filozoficznych" o stosunku tego co ogólne do tego co szczegółowe: „Ogólne istnieje tylko w szczegółowym, tylko przez szczegółowe". To jeden z probierzy pozwalających odróżnić marksistów od dogmatyków. Kto w praktyce nie kieruje się tą zasadą (świadomie lub nie), ten nie może być leninowcem. Stosuje się to chyba zarówno do filozofa, jak i do aktywisty, dyrektora huty, wojskowego i... artysty. Erenburgowi udało się właśnie w „Dziewiątej fali" pokazać, jak „ogólne" — walka o pokój istnieje przez szczegółowe. Przez pracę radzieckich biologów i dyplomatów, manię „ratowania świata" senatora-podżegacza wojennego, łajdactwa amerykańskiego dziennikarza, troski niemieckich robotników. W tej powieści są nie tylko sceny związane wprost z walką o pokój, jak np. owe kapitalne rozmowy Mado w czasie zbiórki podpisów pod Apelem Sztokholmskim. Jest tam również taki fragment, kiedy Natasza (ta z „Burzy", żona Wasi Włachowa) dowiaduje się, że na powierzonych jej leśnych pasach ochronnych pojawiły się gąsienice-szkodniki. Natasza jedzie do obwodowego miasta po pomoc. W drodze, nocą, w czasie deszczu psuje się samochód i Natasza idzie ponad 20 kilometrów piechotą, mając przed oczyma liść dębu zżarty przez gąsienice. Potem, w mieście już, kłóci się ze zwierzchnikiem (w kilku zdaniach Erenburg pokazuje tu odmianę biurokraty), wreszcie po rozmowie w Obwodowym Komitecie Partii dostaje samolot; na lotnisku, niewyspana, głodna, zaczyna z radości całować równie zmęczonego lotnika. Czy to tylko sprawa młodych dębów? Nie, Erenburg całym tokiem narracji pokazuje, że to również sprawa pokoju. I takich scen, takich drobnych spraw jest tu wiele, i w każdej z nich, choćby najbardziej osobistej, żyje i rozwija się to co „ogólne" — walka o pokój. Sprawa pokoju żyje w tej powieści samoistnie, bez zewnętrznej ingerencji autora.

W „Dziewiątej fali" autora na pozór nie widać. Ale, powiadam, nie o formę tu chodzi, lecz o istotę rzeczy, a to, że treść i fabuła „Dziewątej fali" rozwija się sama na skutek wewnętrznej sprzeczności samej treści (walka o pokój) i fabuły (życie i działalność przeciwników oraz obrońców pokoju).

I znowu myślę o dialektyce. Czytałaś na pewno nowo opublikowaną pracę Mao Tse-tunga „O sprzeczności". Pamiętasz może taki jej fragment: „Istotna przyczyna rozwoju rzeczy znajduje się nie poza, lecz wewnątrz rzeczy, w sprzecznej naturze, właściwej samym rzeczom. Każdej rzeczy i zjawisku wewnętrznie właściwa jest sprzeczność. Ona to właśnie rodzi ruch i rozwój rzeczy... W ten sposób materialistyczna dialektyka zdecydowanie odrzuciła metafizyczną teorię zewnętrznej przyczyny lub zewnętrznego pchnięcia, wysuwaną przez zwolenników mechanistycznego materializmu i wulgarnego ewolucjonizmu".

Wydaje się, że w praktyce naszych pisarzy lub dramaturgów można napotkać nieraz owo „zewnętrzne pchnięcie". Akcja powieści lub sztuki zanika, zaczyna ledwo dyszeć i wówczas literat „popycha ją".

Takie metafizyczne popychanie dzieła sztuki często powstaje z doczepiania „polityki"; ideolog „pomaga" artyście i w rezultacie otrzymujemy tzw. łopatologię.

A w sztuce chodzi właśnie m. in. o ową dialektykę, o to, aby dzieło żyło własnym życiem, bez popychania. „Dziewiąta fala" ma to swoje życie, płynące od wewnątrz. Jest to tym bardziej podziwu godne, że obejmuje ona olbrzymi jak na jedną książkę zakres zagadnień, że autor wiedzie czytelnika po całej niemal kuli ziemskiej. I mimo to w tej książce, pisanej przez publicystę, w tej książce o ostrym polemicznym obliczu, w której jest wiele zebrań, kłótni, rozmyślań, nie ma ani słowa, które można by określić mianem złej, natrętnej publicystyki...

DO KOLEGI-PISARZA

Kilka dni temu nasza wspólna zwierzchniczka i poniekąd wychowawczyni z 45 roku, Myszka S., spytała mnie, co się z Tobą dzieje. Chodziło jej jednak nie o to, „co u Ciebie słychać", ale o kilka opowiadań, złych opowiadań, które ostatnio opublikowałeś i za które — jak mówiła — trzeba Ci złoić skórę. Myślę, że w sprawie opowiadań miała rację — są złe. Chciałem Ci to powiedzieć, ponieważ jednak obaj mieszkamy w Warszawie, a co za tym idzie — jesteśmy nieuchwytni, postanowiłem napisać ten list. W toku rozmyślań (bądź co bądź list do pisarza) doszedłem jednak do wniosku, że nie będę pisał o Twoich złych opowiadaniach, ale o dobrej, pięknej książce Erenburga. Zacznę jednak od Twoich opowiadań.

Udziwnianie świata — błąd, który Ci nieraz wytykano, przytłoczył to, co mogło być w nich dobre i słuszne. Zastanawia mnie, skąd się owo udziwnianie świata bierze. Z chęci pokazania, że życie jest po pierwsze niezwykłe, a po drugie niełatwe? Erenburg w „Dziewiątej fali" pokazuje te obydwie bezsporne prawdy.

Pamiętasz zapewne, że gdy ukazała się „Burza", wielu ludzi mówiło, iż historia Sergiusza i Mado jest niezwykła. Mówili to z zarzutem w głosie. Sądzę, że byli to reprezentanci owego słynnego mieszczańskiego „zdrowego rozsądku", tak wyśmiewanego przez Engelsa.

W „Dziewiątej fali" jest scena bardziej jeszcze niezwykła. Spotkanie Mado z matką Sergiusza. Obok śmierci profesora Dumas, który umiera pisząc artykuł dla „L'Humanité", obok wiecu pokoju w małym włoskim miasteczku i rozmowy doktora Kryłowa z wnukiem, to najbardziej wzruszająca scena w tej książce. I przy tym naprawdę, bez zarzutu, niezwykła. Szanse tego spotkania w życiu są, praktycznie biorąc, nieznaczne.

A jednak nikt nie stawia Erenburgowi zarzutu udziwniania świata. Spotkanie, o którym pisałem, w niczym nie narusza realistycznej struktury powieści.

Udziwnianie świata w sztuce nie sprowadza się bowiem do jakiegoś „rachunku prawdopodobieństwa", któremu nie wolno się sprzeniewierzyć. To byłoby najprostsze. Chodzi chyba o coś więcej.

Pamiętasz, w „Ludwiku Feuerbachu" Engels pisze, że materializm objaśnia przyrodę bez dodatków, taką jaką ona jest. Realizm chyba też opisuje i sądzi świat bez dodatków.

Otóż wydaje mi się, że udziwnianie w sztuce polega na owym dodawaniu do świata, w czym szczególnie specjalizuje się — wybacz — religia. Przy czym dodawanie nie polega po prostu na stwarzaniu rzeczy, których nie ma. Przecież centaury i pegazy u Greków są realistyczne, a amerykańskie filmy o gangsterach nie, mimo że centaurów nie było i nie ma, a gangsterzy są. Udziwnianie, dodawanie do świata polega m. in. na nadawaniu symbolicznego znaczenia zjawiskom, które go nie posiadają, na podnoszeniu rzeczy małych do godności wielkich, i na odwrót. A tego u Erenburga oczywista nie ma.

W „Dziewiątej fali" mali ludzie są tacy, jacy są. Weź na przykład Smeedle'a, szpiega, faszystę, chuligana i — przypadkiem — dziennikarza. Jego zachowanie się wobec oficera czeskiego bezpieczeństwa jest właśnie na miarę krawca, nie Fidiasza. Studium tchórzostwa bez szlochów i spazmów. Ta przemiana „niespokojnego ducha" z Jacksonu w spokojnego, zwykłego tchórza jest wspaniała. Przy czym nie jest to oczywista zmiana charakteru człowieka, lecz zmiana warunków, dzięki którym nachalny gangster z amerykańskiego wywiadu okazuje strach jako jeszcze jedno oblicze swego łajdactwa.

W ogóle mechanizm pisarskiego „stań się", przy pomocy którego Erenburg powołuje do życia swoich bohaterów, jest bardzo ciekawy. Na przykład Wasia, brat Sergiusza. Jakże on się zmienił od „Burzy", jak wyrósł! A przecież to był dorosły człowiek, architekt, dowódca oddziału partyzanckiego!

Wydaje się, że błędem niektórych naszych pisarzy jest to, że owo „stań się" pojmują biblijnie — jako jednorazowy akt. U wielkich zaś realistów, u Balzaka, Prusa, Czechowa — „stań się" jest procesem częstokroć nawet nieskończonym, pozwalającym snuć po przeczytaniu książki rozważania o tym, co się dalej działo z bohaterem.

Tylko tak pojęty proces tworzenia bohatera pozwala uniknąć jednostajności. Jest wielu odważnych, dobrych ludzi, ale każdy z nich **staje się inaczej.**

Weź na przykład dwóch „wahających się" z „Dziewiątej fali". Amerykańskiego profesora Adamsa i francuskiego przemysłowca Beaudrie. Mimo tego, że obaj boją się komunizmu, że sami nie wiedzą, co robić — nie chcąc wojny, każdy z nich jest inny. I nie tylko dlatego, że Beaudrie jest uparty, a Adams nie, ale dlatego, że każdy ma inną przeszłość, inne życie, zapewne inną przyszłość. Kto wie — może Adams da się zastraszyć FBI, a Beaudrie pojedzie do Moskwy na konferencję gospodarczą, albo na odwrót.

Pełnię obrazu ludzkiego osiąga Erenburg różnymi sposobami. Przede wszystkim przez to, że pokazuje ludzi w działaniu, **w różnych warunkach.** Profesora Dumas znamy z jego podróży do USA i z owej wspaniałej małej scenki w Sztokholmie, kiedy zdobywa od marynarza pierwszy w świecie podpis pod Apelem. Minajew — ta obok Mado najbardziej ukochana przez pisarza postać — ukazuje się nam nie tylko w więzieniu amerykańskim, ale i w liście do Alpera.

O profesorze Szebarszinie znajdziesz gdzieś pozornie nieistotne, a jak dla pełni ważne, cztery zdania, że walczył w szeregach Czerwonej Armii w czasie wojny domowej, że do Partii został przyjęty w 28 roku. O Dumas, niemal przed jego śmiercią dowiesz się, że był w młodości nieszczęśliwie zakochany. Ta historia, klimatem przypominająca czasy Flauberta czy młodego France'a, mówi wiele o człowieku, o tym, jak rósł, co przeżywał. Albo Bill Coster — ileż mówi o tej dziennikarskiej ladacznicy bez zasad scena, w której pełen strachu, otoczony przez grupę manifestujących dziewcząt francuskich zapewnia je, że wyniesie się do Ameryki.

Niedawno czytałem jakiś szkic France'a. Cytuje on tam taką myśl: „Można się znużyć wszystkim — ale nie rozumieniem". Czytając „Dziewiątą falę" myślałem: można się znużyć wszystkim — tylko nie przekształcaniem świata...

DO KOLEGI-MALARZA

Kiedy niedawno złamałem naszą umowę i odwiedziłem Cię przeszkodziwszy Ci w pracy, to główną przyczyną była „Dziewiąta fala" Erenburga. A ściślej mówiąc nie cała powieść, lecz ten fragment, który Ci wówczas na gorąco przetłumaczyłem. O Sambâ, o malarstwie. Dziś czytając go raz jeszcze, znów chciałem Cię odwiedzić. Ale tym razem nie łamię umowy — piszę.

O tej książce można napisać wiele. Jej bogactwo jest zadziwiające. Oczywista wielostronność jest cechą właściwą każdemu prawdziwemu dziełu sztuki, ale wielostronność twórczości Erenburga, a w szczególności „Dziewiątej fali", jest wyjątkowa. Konstanty Fiedin pisał ponad rok temu o twórcy „Burzy", że gdyby nie pracował on tak wiele, to zapewne znużyłby go ogrom własnych spostrzeżeń. Szerokość i mnogość obserwacji, analiz i syntez zawartych w trzech ostatnich powieściach Erenburga nigdy jednak nie przytłacza. Pochodzi to zapewne stąd, że w każdej z nich istnieje jakiś kościec, utrzymujący tę masę w harmonijnej całości.

Jednym z takich nurtów przewodnich, owej konstrukcji, na której wspiera się gmach książki — jest sprawa walki o nową kulturę, o nową sztukę, obrona kultury i sztuki przed burżuazyjnym zwyrodnieniem, przed faszystowskim barbarzyństwem.

Zaiste, zważ, ile myśli o malarstwie, teatrze, literaturze znaleźć można na stronicach „Upadku Paryża" i „Burzy". Zapewniam Cię, że nie mniej znajdziesz ich w „Dziewiątej fali". Sztuka w życiu ludzi stworzonych przez Erenburga zajmuje doniosłe miejsce. W „Dziewiątej fali" architekt Wasia żegnając się rankiem z od dawna niewidzianą żoną mówi jej: „Wiesz co robił Faust zaznawszy szczęścia? — Budował miasto".

Przy czym sprawa kultury, sprawa sztuki nie jest nigdy dla Erenburga koneserstwem. To kwestia polityki. Kwestia jakości człowieka. Czytając „Dziewiątą falę" zwróć uwagę na to, co o sztuce mówi Nivelle albo żona Billa Costera, i porównaj z tym, jak rozumie i przyjmuje poezję doktor Kryłow, inżynier Krenz, albo z tą wewnętrzną walką o malarstwo, jaką przeżywa Sambâ. Tu nie o to chodzi, aby zgodzić się ze wszystkim, co Sambâ myśli o malarstwie albo

HENRYK GAWORSKI

Ilustr. Charlie

OFIARA LITERATURY FACHOWEJ

I

Kolego drogi, który dzisiaj
na chuliganach kruszysz stalki —
proszę o głos, bo zdaje mi się,
żeś nieco spaczył sens tej walki.

Ty wciąż po jednej kroczysz linii
pewien, że smagasz, że obnażasz —
bijąc w samodział i w bikini,
bijesz w ideał bikiniarza.

A w życiu — rzecz to wszystkim znana —
mało jest typów idealnych
i nie każdego chuligana
na zamsze stać i krawat w palmy.

Ponadto zaś nie każdy drab ten
tak bardzo grzeszy brakiem sprytu,
byś, ledwie okiem rzucisz — raptem
skąd on i kto on zacz — odczytał.

Waląc jedynie swoim żartem
w czuprynę jak na kaczym kuprze
i w nogawice na trzy czwarte
rzecz bierzesz, że tak powiem, z głupsza.

Pozwól więc, proszę, że ośmielę
się przerwać walki święty trans twój
i sam innymi niż ty strzelę
słowami przeciw chuligaństwu.

II

Jasio Upartycz (nomen omen),
że traktorzysta w pracy żwawy,
został wybrany w swoim POM-ie
na Zlot Młodzieży do Warszawy.

Ujrzeć stolicę — co za szczęście.
Lecz Jasio obok innych marzeń
miał jedno skryte: raz się wreszcie
spotkać z prawdziwym bikiniarzem.

Pretensji za to doń nie wnoście,
bo chociaż rzecz to dziwna dla nas,
od kilku lat już w jego wiosce
nikt by nie znalazł chuligana.

U Jasia we wsi znano typ ten
już tylko z książek albo z gazet
i przyznam się, że każdy szczyptę
wątpił w istnienie tych okazów.

Jasio Upartycz chciał więc dociec,
jak to naprawdę sprawa się ma:
„Przekonam — myślał — się na Zlocie:
są chuligani czy ich nie ma".

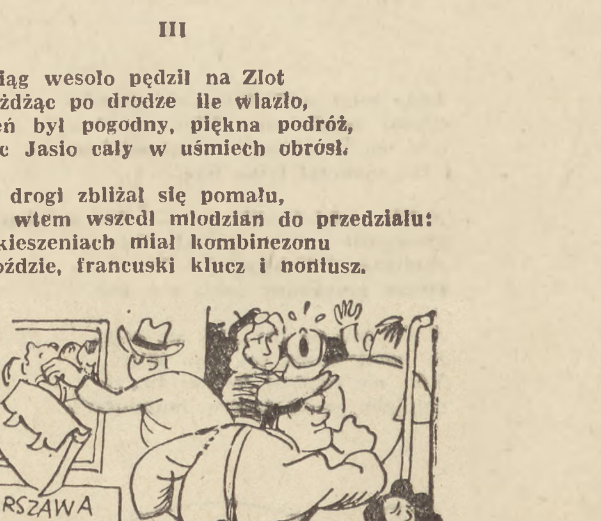
Paczkę rysunków wsadził w kieszeń,
en face, z profilu i od zadka,
zaś w drugą satyr, fraszek, wierszy
i sto numerów „Szpilek" natkał.

Tak uzbrojony tuszył, że wnet
wszystkich bażantów pozna z góry,
a gdy nie będzie całkiem pewny,
zajrzy do swej literatury.

III

Pociąg wesoło pędził na Zlot
gwiżdżąc po drodze ile wlazło,
dzień był pogodny, piękna podróż,
więc Jasio cały w uśmiech obrósł.

Cel drogi zbliżał się pomału,
gdy wtem wszedł młodzian do przedziału:
w kieszeniach miał kombinezonu
gwoździe, francuski klucz i noniusz.



Lecz już przy wejściu wynikł zamęt,
bo ów młodzieniec jakąś damę
potrącił mocniej — ta na cios ten
jęknęła z bólu wielkim głosem,

co na młodzieńca podziałało
jak wiatru wiew na mokrą gałąź:
takich na damę deszczyk słów spadł,
że Jaś w zdumieniu rozwarł usta.

Nie tylko Jaś jak kamień siedział —
jak kamień siedział cały przedział.
Nareszcie z braku innych przygan
z kąta się ozwał ktoś: chuligan!

Tu Jasio wtrącił się: „To bzdura!
Fachową mam literaturę,
na chuliganach dobrze znam się;
oni piętrowe noszą zamsze,

oni, jak pisze pan Hurrandot,
chodzą jak małpy — tylko grandą.
A ten pan sam jest — zamsze gdzież ma?
To jest chuligan? Nonsens, śmieszne!"

IV

Jaś na Zlot przybył trzy dni wcześniej,
bo dla dyrekcji swego POM-u
załatwić jakąś sprawę gdzieś miał.
A oto jak to wszystko szło mu:

Wszedł do urzędu. Sekretarka
była prześliczna — żywy anioł!
Skoczyć Jasiowi w piekła żar każ —
skoczyłby dla niej albo za nią.

Ale i anioł się uprzykszy,
gdy w sprawę twoją nie chce wczuć się.
Jaś do urzędu całe dni trzy
chodził jak grzesznik na pokucie.

Lecz dnia trzeciego dosyć miał już.
Mimo że straż anielska sroga,
udało mu się wejść do raju
wprost przed oblicze pana boga.

profesor Szebarszin o Dantem, ale o coś bardziej zasadniczego — o duchowe ubóstwo lub pełnię człowieka.

Nota bene — z książek Erenburga możesz sądzić, co on sam myśli i czuje o sztuce. Możesz przypuszczać, że ulubioną jego sztuką jest „Owcze źródło" Lope de Vegi. Wiesz, jak wyobraża sobie wielką kreację aktorską.

Wracając zaś do Sambá to wydaje mi się, że dobrze byłoby, gdyby nasi malarze znaleźli w sobie tę namiętność poszukiwacza prawdy, z jaką on malował swoją „Kobietę wiodącą demonstrację". I równie dobrze by było, gdyby zapamiętali taką myśl erenburgowskiego malarza: „...kiedy patrzę na przylizane portrety współczesnych, w których nie ma ani koloru, ani światła — człowiek znika. Nawet koszmary Goyi są realne, lecz nie znam nic bardziej dyskusyjnego, umownego, niekiedy nieprawdopodobnego — niż fotografia".

Ale nie o fragmenty mi chodzi. Sztuka jest i w „Upadku Paryża", i w „Dziewiątej fali" wielkim pomocnikiem nowego człowieka. I wydaje mi się, że nikt z pisarzy nie potrafił jak on pokazać miejsca sztuki w życiu człowieka epoki socjalizmu.

Ludzie, którzy by tak czuli i kochali sztukę, ludzi tak pełnych, tak ludzkich nie znała żadna epoka przed nami. Zwróć uwagę na doktora Kryłowa; znasz go z „Burzy", poznasz go jeszcze lepiej w nowej powieści. Cóż to za wspaniały człowiek! Jaka żądza życia, jaka pasja i rozum! Ilekroć myślę o błędach, jakie w swym życiu popełniałem, myślę, że chciałbym być takim człowiekiem jak on. I przy tym zważ, że w tej postaci pisarz osiągnął jednolitość poprzez całe wewnętrzne bogactwo ludzkiej duszy, a nie — jak to się w naszej sztuce czasami zdarza — przez zubożenie człowieka.

Różnorodność i bogactwo typów ludzkich przejawia się w „Dziewiątej fali" również przez to, że Erenburg nie zawsze do końca rozgryza człowieka, iż pokazuje, jak trudną sprawą jest zrozumieć wszystko dobre i dziwne, tkwiące w człowieku. Kiedy przeczytasz tę książkę, być może zastanowisz się nad tym, jaką kobietą jest Olga Siniakowa, siostra Siergieja i Wasi. Sądzę, że na to pytanie każdemu czytelnikowi będzie trudno dać odpowiedź, jeśli tylko zechce wyjść poza ogólnikowe stwierdzenie, że to nasz człowiek. A przy tym byłoby chyba błędem, gdyby ktoś powiedział, że Olga „wymknęła się" pisarzowi, że namalował czyjś niedokończony, zamazany portret. Bo przecież Olga żyje, jest prawdziwa mimo tego, że nie znalazła jeszcze siebie do końca, że nie tylko czytelnik, ale i pisarz, i ona sama nie potrafiliby powiedzieć, co się z nią stanie. Gdyby Erenburg napisał kiedyś dalszy ciąg „Dziewiątej fali", w którym Olga zostałaby na przykład wiceministrem lub laureatem Nagrody Stalinowskiej, to mógłby chyba powiedzieć, że przy pierwszych szkicach Siniakowej wcale nie spodziewał się takiego zakończenia. Podobnie Lew Tołstoj przyznał się kiedyś, że śmierć Anny Kareniny dokonała się wbrew jego woli.. Istotne jest jednak to, że podobne zjawiska w sztuce niczym nie przeczą realizmowi, a to dlatego, że tak bywa z ludźmi w życiu.

I jeszcze dwie sprawy na zakończenie. Pełnia człowieka i sztuki rodzi się u Erenburga z wielkiej wiedzy o człowieku. Kiedy będziesz czytać „Dziewiątą falę", zwróć uwagę: Minajew i Ola, Krenz i Wiera, Szebarszin i Lola, Erich i Anna, Betty i Joe. Ile wzlotów, ile marzeń, kto wie — może i błędów, trzeba było przeżyć, aby to wszystko tak opisać, żeby przekazać tę różnorodność myśli i uczuć.

I dlatego zapewne, im bliższe w czytaniu tej powieści jest jej zakończenie, tym bardziej żałuje się, że jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt stron i — niestety koniec. A może nie koniec... Na ulicach Moskwy, Paryża, Warszawy, na polach Turkmenii, Korei, Włoch i Luizjany „Dziewiąta fala" trwa.

Roman Zimand

MARCIN CZERWIŃSKI

Młodzi na nich patrzą

Młodzież — pisze w r. 1949 prawicowy dziennik włoski „Giornale della Sera" — zapatrzona jest w ideały i brzydzi się interesami... Bądźmy więc ostrożni, my, ludzie starszych pokoleń, ostrożnie wykonujmy nasze manewry polityczne: młodzi na nas patrzą".

Publicysta Ruggero Zangrandi na łamach redagowanego przez Palmiro Togliattiego miesięcznika „Rinascita" (luty—marzec 1952) zestawił fakty, które pozwalają zdać sobie sprawę, jak młodzież pozostająca pod wpływami partii prawicowych widzi polityków własnego obozu i jakimi odruchami spontanicznymi reaguje na ich grę. Wszystkie partie aktualnego reżimu Włoch zdają sobie sprawę, że problem „ich" młodzieży wszedł, wobec sytuacji wewnętrznej w kraju, w fazę ostrego kryzysu. Dzieje się tak nie dlatego, aby młodzież ta była bardziej otwarta na sugestie idące ze środowisk komunistycznych niż na propagandę własnych ugrupowań. Jest przeciwnie. Wyniosła ze swych w przeważającej części drobnomieszczańskich lub urzędniczych rodzin już nie uprzedzenia, ale często wręcz głuchotę na argumenty marksistów. Tę atmosferę maksymalnej nieufności do rozumowania w sprawach społecznych, znamienną dziś dla „warstw średnich", charakteryzuje katolik Franco Malfatti w „Cronache sociali" (marzec 1949) w sposób następujący: „Postawa irracjonalna... wobec życia,... sceptycyzm... nieufność, nieufność właśnie wobec rozumu, a tym samym wobec możliwości rozwiązania drogą racjonalną tak własnych problemów indywidualnych, jak problemów pokolenia i klasy".

Jakie są więc szczegółowe powody kryzysu, skoro nie stanowią ich „demobilizujące" wpływy ideologii partii komunistycznej?

W przeglądzie czynionym przez Zangrandiego wyróżnić można dwie grupy czynników: bezpośrednią wymowę położenia warstw średnich, a w szczególności perspektyw otwierających się przed młodzieżą z tego środowiska, jakże odległych od programów partii mieszczańskich; oraz okoliczności natury czysto psychologicznej podrywające wiarę w uczciwość kierownictwa politycznego, w rzetelność haseł szermujących dobrem powszechnym. O tym, pod jakim znakiem młodzież z warstw średnich wchodzi w życie, informuje ankieta przeprowadzona przez katolicki tygodnik „Fiera Letteraria" w r. 1947, odkąd przecież sytuacja we Włoszech (nie dotyczy to warstw najzamożniejszych) pogorszyła się jeszcze. Młodzież ta — to przeważnie studenci; spośród tych, którzy nimi nie są, spora część pragnie przejść takie czy inne studia wyższe lub pogimnazjalne zawodowe. Ankieta zatem zebrana przez wzmiankowane pismo w środowisku studenckim daje pogląd reprezentatywny dla całej warstwy. Wyniki jej streszczają się następująco: „Studenci Uniwersytetu Rzymskiego (około 30 tysięcy) nie uczęszczają... w wielkiej części... regularnie na wykłady... ponieważ pochodzą z prowincji i nie mają środków, by osiąść na stałe lub dojeżdżać wciąż do miasta uniwersyteckiego; albo też pracują na kiepskich posadach czy udzielają prywatnie lekcji, czekając na ukończenie własnych studiów...

Zrozumiałe jest, że ta warstwa młodzieży, twardo i niesprawiedliwie doświadczona przez życie, nie może mieć wobec niego postawy optymistycznej i zdobywczej, jaka zwykle cechuje młodych, tak długo przynajmniej, póki przyczyny ich trudności nie zostaną usunięte".

Dalej w przyszłość, poza aktualną rzeczywistością studiujących drobnomieszczan, rozciąga się nieponętny obraz oczekującego młodych ludzi startu życiowego i dalszych perspektyw w „walce o byt". Obraz ten ma jeszcze może silniejszy wpływ na ich wyobraźnię, oddziaływuje on przy tym na wszystkich, także na studiujących, synów i córki kupców, drobnych przedsiębiorców i urzędników. Przynosi on im zapowiedź stałego obniżania stopy życiowej, wielkie prawdopodobieństwo bezrobocia, ciężko dotykającego „wolne zawody", miażdżącą konkurencją produktów amerykańskich, eliminujących dzięki protekcyjnej polityce rządu zapotrzebowanie na wiele rodzajów wytwórczości rodzimej. Pamiętać należy, że owocem kolaboracji ekonomicznej partii mieszczańskich z kapitałem amerykańskim jest jedynie konserwacja interesów wielkich posiadaczy włoskich, natomiast ujemne jej skutki spadają w pewnej mierze także na przedstawicieli warstw średnich, a w szczególności uderzają w aspiracje ich dzieci do awansu społecznego (to ostatnie poprzez bezrobocie w „zawodach intelektualnych").

„Kryzys młodzieży" w obozie mieszczańskim to — jak wspomniałem — przede wszystkim okoliczności składające się na załamanie wiary w uczciwość kierownictwa politycznego i aparatu państwowego.

Zangrandi powiada:

„Poza rozczarowaniami przeszłości, rozczarowaniami przyniesionymi przez wojnę, warunki życia i brak perspektyw, na które skazuje młodzież obecne społeczeństwo... żywe jest dziś wśród młodzieży rozczarowanie na piętrze idealnym, rozczarowanie do reżimu demokratycznego, takiego, jaki odbudowany został we Włoszech w ostatnich latach, do jego obłudy, przestarzałego charakteru, zacofania i konwencjonalności jego zasad i „instytucji".

Młodzież drobnomieszczańska ma jeszcze jeden powód do zamętu pojęć, rozczarowania i nieufności. Stanowi go zrozumiały dla innych, dla niej nie do pojęcia, zygzak polityczny partii mieszczańskich, które od wymuszonego przez masy proletariackie i inne postępowe warstwy społeczeństwa potępienia faszyzmu przeszły do naśladowania go, tracąc jednak możliwość dziedziczenia po nim całej demagogicznej blagi mocarstwowej, utrąconej smutną rzeczywistością amerykańskiego protektoratu.

W liście do faszyzującego dziennika „Uomo qualunque" (6 kwietnia 1949) młody ex-kombatant Armido Barbarino zapytuje:

„Kto ma odwagę mówić, że mój przyjaciel Gino jest bohaterem, ponieważ walczył razem z Amerykanami, podczas gdy Pino jest zdrajcą, gdyż walczył przeciw nim? A Carlo, który zginął, czy jest bohaterem, czy zdrajcą? A zresztą, nawet gdyby to wszystko mogło być ustalone, jakie miałoby znaczenie?"

Obnaża się tu sam szew oszustwa politycznego, istotnie bowiem co, poza sojusznikiem i opiekunem wielkiej burżuazji włoskiej, zmieniło się? Po co walczyli Gino i Pino, którzy nie zdążyli przejrzeć gry, z których żaden nie był w partyzantce?

Czynne zaszeregowanie polityczne młodzieży drobnomieszczańskiej obejmuje przede wszystkim i w ogromnej części neofaszystowską partię MSJ oraz chrześcijańską demokrację. Znaczna część tej młodzieży biernie ustosunkowana do życia politycznego oddaje chaotycznie swe głosy wyborcze na różne listy mieszczańskie. Aktywniejsi, odcinający się od scharakteryzowanego już tła indolencji większości, szukają sobie miejsca bądź w rządzącej chadecji, bądź u neofaszystów, którzy nęcą swym charakterem partii dążącej do rewanżu, nie są przy tym tak kontrolowani przez czynniki klerykalne, a raczej dziś już są, ale kontrola nie jest tak bezpośrednia.

Najważniejszym punktem sprawozdania Zangrandiego jest stwierdzenie, że w łonie młodzieżowych ugrupowań chadeckich a nawet neofaszystowskich, trwa ferment ideowy, torujący sobie wprawdzie drogę bardzo powoli i poprzez wystąpienia odłamów tylko, niemniej przeto interesujący jako symptom głębokiego rozkładu systemu kapitalistycznego, niezdolnego dziś zmobilizować w całości nawet tych grup młodzieży, które ujął we własne ramy organizacji politycznej.

I tak grupa teoretyków młodzieży chadeckiej, reprezentująca środowisko o najżywszym fermencie pojęć, oświadczyła na publicznym zjeździe w sierpniu 1951 r.:

„Dzisiejsza światowa problematyka społeczna zdradza generalny kryzys systemu i należy stwierdzić, że rozwiązanie możliwe jest tylko na zewnątrz systemu".

Na zjeździe szkoleniowym młodzieży chadeckiej w Faenzy w październiku 1951 r stwierdzono w rezolucji, że głównym zadaniem stojącym przed nią jest:

„...ocalić demokrację we Włoszech, opierając się energicznie najgłębszym tendencjom obecnej sytuacji politycznej poprzez częściowe oderwanie warstw średnich od rządzącej klasy kapitalistycznej oraz obalenie w łonie jednolitego obozu politycznego katolików tradycyjnej koalicji z prawicą i dołączenie do lewicy". (Pismo „Per L'Azione" — listopad 1951). Z deklaracji tej wyczytać możemy złudzenia co do partii chadeków, ale również szczery protest przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, a nawet dobrą wolę porzucenia uprzedzeń wobec partii robotniczych.

Młodzież pozostająca pod wpływami neofaszystów wydała również herezjarchów. Znajduje to swoje odbicie prasowe w takich głosach jak: żądanie rozbrojenia (La Gazzetta z 26 lutego 1952), zaprzeczenie niebezpieczeństwa agresji radzieckiej (27 luty 1952), żądanie stworzenia „frontu młodych obrońców wolności" przeciw groźbie paktu atlantyckiego (9 marzec 1952). Młodzież ta obraca się jednak wśród pojęć abstrakcyjnych i jest narażona na zejście na najgorsze bezdroża, a także na to, by stać się ofiarą swego pozbawionego skrupułów kierownictwa.

Kierownictwo stosuje presję i przekupstwo przeciw wszystkim „lewicowym" tendencjom. Stosuje się metodę kompromisowania i usuwania od działalności.

Scharakteryzowany ferment ideowy świadczy, iż sens faktów życia społecznego Włoch i wymowa sytuacji międzynarodowej powodują dziś, że nawet przy silnych uprzedzeniach antymarksistowskich w środowiskach podlegających degradacji społecznej (a objęła ona także warstwy średnie) grupy zdolne do odwagi spontanicznie formułują postulaty praktyczne, zbieżne z interesami proletariatu, a więc i z linią Partii Komunistycznej. Z wymienionych powodów młodzież jest odważniejsza i bardziej niezależna w sądach od ludzi pokoleń starszych.

Marcin Czerwiński

STANLEY B. CHMARA

W AMERYKAŃSKIM LICEUM

Amerykańska High School odpowiada mniej więcej angielskiej Secondary, w Polsce — liceum. Nauka w High School stoi bez porównania niżej aniżeli w średniej szkole angielskiej czy polskiej. Z reguły wszyscy uczniowie i wszystkie uczennice otrzymują po zakończeniu szkoły tzw. „graduation" w wesołym nastroju, mając dyplomy te od dawna jakby w kieszeni.

Sześć milionów młodzieży, czyli prawie trzy czwarte chłopców i dziewcząt w wieku do lat 17 — 18, uczęszcza do szkoły typu High School, reszta zarobkuje albo korzysta ze szkół prywatnych, dość drogich. High School jest wielką fabryką produkującą standaryzowany typ Amerykanina.

Nauka w High School wcale nie jest głównym zadaniem szkoły. Tylko takie przedmioty jak nauka angielskiego — bez szczególnego nacisku na historię literatury — i matematyka są obowiązkowe. Inne przedmioty są drugorzędne.

Młodzież w High School poddana jest procesowi amerykanizacji w sposób jednaki na całym terenie Stanów. Proces ten sprawia, że młodzież już w pierwszym roku pobytu w szkole poczyna z góry traktować starszych, akcentuje wobec nich własną wolę, odseparowuje się jaskrawie od rodziców. W amerykańskiej rodzinie nie dostrzegamy tych więzów między rodzicami i dziećmi co w Europie. Dlatego i sam związek małżeński w Ameryce, to raczej zwyczajna spółka dwojga ludzi, ale nie małżeństwo w rozumieniu europejskim.

Ameryka posiada wiele środowisk emigranckich, narodowościowych, żyjących własnym życiem. Szkoła, a przede wszystkim High School, ma przyspieszyć proces amerykanizacji, odciągnąć dzieci i młodzież od rodziców z owych środowisk narodowościowych i urobić je na modłę amerykańską.

Tak też dzieje się przeważnie, że dzieci rodziców ze środowisk emigranckich stają się obcymi dla rodziców już od pierwszego roku pobytu w szkole.

Ameryka w rozumieniu pupila High School — to kraj, który przewyższa wszystkie inne pod każdym względem. Amerykanie są narodem najdzielniejszym i najkulturalniejszym, i dlatego przeznaczeniem Ameryki jest władanie światem.

Po ukończeniu High Shool młodzieniec amerykański wie niewiele więcej np. o Francji poza tym, że Francja jest republiką i że Paryż jest jej stolicą. O Anglii, że ciągle jest królestwem, że królem był George, obecnie zaś Elisabeth królową, i że corocznie odbywają się tam wyścigi załóg Oxfordu i Cambridge. Nazwiska współzawodników każdy z wychowanków High School mógłby wyrecytować z pamięci. Wiadomości o szerokim świecie, poza Ameryką, dostarcza młodzieży film amerykański. Młodzież z High School zna dokładnie wszystkie filmy, jakie produkuje Hollywood, filmem bowiem pasjonuje się tak samo jak sportem. Pomimo obowiązkowej nauki języka angielskiego młodzież z upodobaniem posługuje się „slangiem", co bynajmniej nie napotyka przeciwdziałania ze strony nauczycieli i wychowawców.

System amerykański nauczania i wychowywania zmierza do tego, ażeby młodzież wdrożyć do samodzielności. Tę samodzielność rozumie się jako osiąganie sukcesów materialnych w życiu, inaczej mówiąc — pieniędzy. Amerykanin uczęszcza więc do szkoły nie w tym celu, ażeby zdobyć wiedzę, ale żeby nauczyć się zdobywać — dolary. Ze szkoły wynosi też młodzież amerykańska zasady łatwego urządzania sobie życia, stosunek zaś do ojczyzny amerykańskiej, do amerykańskich zagadnień społecznych, do spraw publicznych zamyka się nieledwie w jednym hymnie „Hail Columbia", śpiewanym przy lada okazji.

Najważniejszym momentem w życiu szkoły jest tzw. „graduation" — jej ukończenie. Wówczas to młodzież przybrana w togi i berety, niczym młodzież akademicka angielska, wysłuchuje uroczystych przemówień, paraduje w uroczystych marszach przez miasto z własną band-orkiestrą na czele, ażeby w końcu wziąć udział we wspólnej zabawie połączonej z tańcami i hulanką bez żadnych hamulców natury tzw. „moralnej".

Po ukończeniu High School jedni wychowankowie udadzą się na dalsze — nazwijmy tak — studia, inni rozpoczną zarobkowanie na życie, niektóre dziewczęta wyjdą za mąż. Dlatego ostatnia pożegnalna noc z okazji „graduation" spędzana jest w dość osobliwy sposób (patrz załączone zdjęcie) który — biorąc na zdrowy rozum — w Europie musiałby chyba pociągnąć za sobą publiczne protesty i potępienie samej szkoły.

Wszyscy opuszczają szkołę podobni do siebie jak krople wody, jeśli chodzi o charakter, o obyczaje, o światopogląd, o stosunek do życia, do otoczenia, wreszcie — do samych siebie. High School zestandaryzowała młodzież dokładnie i w sposób zdumiewający, a to właśnie było jej głównym zadaniem. Zadanie to wykonała — z amerykańskiego stanowiska — chlubnie.

Stanley B. Chmara



Noc po ukończeniu High School w Hilsdale w stanie Michigan. Z czasopisma angielskiego „Pictures Post"

„Ja w pilnej sprawie, dyrektorze.
Pozwólcie" — Jaś chce rzecz wyłuszczyć.
„Pan do mnie? Dzisiaj?! W takiej porze?!!
Kto się odważył pana wpuścić?!!!



Wyjść mi natychmiast, bo milicja,
bo..." — Jaś nie czekał już na finał,
pomyślał: „Nie załatwię nic ja,
a lepiej burd nie rozpoczynać".

Lecz w korytarzu szepcze ktoś doń:
„To jest chuligan nie dyrektor!
Z nim tylko groźbą, a nie prośbą".
Spojrzał się Jasio, kto tu rzekł to.

Woźny to był, a w oczach strach miał,
mówiąc na boki się oglądał.
Jasio pismami przed nim machnął:
„Pan się pomylił w swoich sądach!

Chuligan w palmy nosi krawat,
chuligan nie jest dyrektorem.
Janusz Kminkiewicz o tych sprawach
napisał kilka satyr sporych!"

V

Jasio miał dziś stanowczo pecha.
Chciał autobusem gdzieś pojechać,
lecz ten przystanek minął migiem
i Jaś zobaczył tylko figę.

„Gdzie pędzisz, chłopcze — ten autobus
prowadził pewnie zwykły łobuz,
chuligan, jakich jeszcze kupa" —
rzecze przygodny jakiś mu pan.

A Jaś mu na to: „Coś się boję,
że pomieszanie ma pan pojęć.
Nikt nie napisał jeszcze tu, że
chuligan może być w mundurze".



VI

Ów tylko głową pan pokiwał,
a Jaś się poszedł napić piwa.
Dopijał właśnie piwo z kufla,
gdy kłótnia w MHD wybuchła.



Tym razem stały przeciw sobie
dwa zabytkowe typy kobiet.
O co im poszło? — Diabeł wie to,
czego w tych razach brak kobietom.

Jedna starannie odnowiona
ze wszystkich boków, jak eksponat,
druga — cóż, bywa — ekspedientka
— w pracy jak żółw, lecz w gębie prędka.

Słowa leciały jak grad gęste,
w powietrzu się zderzały z chrzęstem,
siekły, brudziły, kłuły, gryzły,
nonsensy, bzdury, idiotyzmy.

Tu Jasio głowę stracił do cna:
„Fachowych wierszy przecież moc mam,
a w żadnym nie ma nawet wzmianki
czy są kobiety chuliganki!"

VII

W godzinę później znalazł Jaś się
w jakiejś instancji ZMP.
Coś w kadrach sprawdzić miał czy w kasie,
lecz i tu trafił za nim pech.



Jeden kolega nie miał czasu,
następny kompetencji zaś.
„Przyjdźcie po Zlocie, drogi Jasiu,
na pewno znajdę wtedy czas".

U PRZYJACIÓŁ

SCENARIUSZ O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM

W literackiej, teatralnej i filmowej prasie radzieckiej coraz częściej ukazują się omówienia nie tylko filmów fabularnych, lecz również poważniejszych scenariuszy filmowych, zaliczanych do literatury pięknej na równi z powieściami i utworami dramatycznymi. Zagadnienia dramaturgii filmowej są obecnie żywo omawiane w Związku Radzieckim, toteż duże zainteresowanie krytyki literackiej i filmowej wywołała zapowiedź nakręcenia filmu poświęconego Feliksowi Dzierżyńskiemu.

Tego zaszczytnego, lecz bardzo trudnego zadania twórczego podjął się wybitny dramaturg radziecki, autor „Człowicka z karabinem" i in., Mikołaj Pogodin.

Na wstępnych stronicach scenariusza Pogodin odmalował nadzwyczaj ciężki okres w życiu i rozwoju młodej Republiki Radzieckiej, gdy znalazła się w obliczu groźnego niebezpieczeństwa najazdu imperialistycznych interwentów. Partia i jej Wodzowie rzucają hasło: „Ojczyzna socjalistyczna w niebezpieczeństwie!" Lenin i Stalin stawiają Feliksa Dzierżyńskiego na czele Wszechzwiązkowej Komisji Nadzwyczajnej (WCzK), proletariackiej organizacji powołanej do obrony socjalistycznej Ojczyzny przed wrogami wewnętrznymi. Tak więc motyw obrony zdobyczy Wielkiego Października — to węzłowy, zasadniczy temat znakomitego utworu Pogodina.

Wśród innych równie silnie brzmiących motywów scenariusza o Dzierżyńskim znajdujemy temat pokojowego budownictwa, temat twórczego triumfu Wielkiego Października. Temat ten autor scenariusza również rozwinął w całej pełni artystycznego wyrazu, dzięki mistrzowskiej kompozycji dramatycznej.

W czasopiśmie „Sowietskoje Iskusstwo" pisze K. Paramonowa:

...„W postaci Feliksa Dzierżyńskiego Pogodin odsłania cechy prawdziwego humanizmu socjalistycznego. Jego surowa i ciężka praca w WCzK, zmierzająca do zniszczenia klasowych wrogów Rewolucji, podporządkowuje się głównemu celowi — zdobyciu szczęścia dla ludu. Jego energiczna walka z bezdomnością dzieci — to bitwa o życie dzieci, o los Kraju Zwycięskiego Socjalizmu, gdyż dzieci są przyszłością Ojczyzny. Promień humanizmu rozświetla jego walkę o każdego prostego człowieka".

„...Odtworzywszy realistycznie portret Dzierżyńskiego, odzwierciedliwszy epokę Rewolucji — konkluduje recenzentka — dramatopisarz potrafił reflektorem filozoficznego uogólnienia naświetlić każdy epizod scenariusza".

Sp

KSIĄŻKI DLA NIEWIDOMYCH CZYTELNIKÓW

W Związku Radzieckim zagadnienie stworzenia literatury dla niewidomych weszło w stadium pełnej realizacji, znalazło wyraz w powstaniu i rozwoju oddzielnej gałęzi przemysłu wydawniczo-poligraficznego.

Jak wygląda taka książka dla niewidomych? Jest to duży tom złożony z grubych stron pokrytych bezbarwnym drukiem wypukłym. Alfabet wypukły składa się z najrozmaitszych kombinacji zaledwie 6 kropek: (niewidomi nazwali ten alfabet „cudownym sześciokropkiem"). Zależnie od ich wielkości, kształtu i wzajemnego układu — tworzy się symbole literowe, matematyczne a nawet muzyczne, dzięki czemu niewidomy posługując się dotykiem może w krótkim czasie nauczyć się biegle czytać tekst, formuły matematyczne, nuty, wykresy itd.

Dzięki troskliwej opiece i poparciu partii i rządu stworzono w Związku Radzieckim specjalne biblioteki dla niewidomych, a odpowiednie drukarnie produkują dla niewidomych literaturę polityczną, fachową, naukową i piękną, podręczniki i tablice.

Sp

ECHA ROCZNICY ZGONU P. PAWLENKI

Prasa radziecka w rocznicę zgonu jednego z najwybitniejszych prozaików współczesnych, P. Pawlenki, poświęca mu wiele wspomnień i artykułów okolicznościowych. W ogłoszonych przez czasopismo „Litieraturnaja Gazieta" wspomnieniach wdowy po znanym bojowniku wolności i postępu, Gusty Fuczikowej, autorka opowiada, że w czasie swojej ostatniej bytności w Pradze, w roku 1951, P. Pawlenko żywo interesował się spuścizną literacką autora „Reportażu spod szubienicy", że uważnie przeglądał ocalałe rękopisy, robiąc liczne uwagi i notatki. Przytaczając zdania i sądy Pawlenki, Fuczikowa kończy zwięzłą charakterystyką radzieckiego pisarza: „Pisarz Piotr Pawlenko był bojownikiem, który bronił Związku Radzieckiego, który bronił świata nowego szczęścia ludzkiego. Jego miejsce nie będzie puste, jego walka trwa dalej. Mimo to czujemy wielkość poniesionej straty, brak nam sztuki pisarza. I wspominając go, czynimy to przede wszystkim z uczuciem przywiązania i wdzięczności. Kochamy w nim **pisarza** wielkiej miary i wspaniałego **człowieka** radzieckiego".

Kl.

MONIUSZKO I POECI POLSCY NA BIAŁORUSI

W n-rze 5-tym białoruskiego czasopisma literackiego „Połymia" („Płomień") ukazał się pokaźny cykl utworów poetyckich naszych poetów w przekładach dokonanych bardzo starannie przez poetycką młodzież białoruską. Szczególnie troskliwie potraktowano utwory Broniewskiego, tłumaczone kilkakrotnie przez różnych poetów.

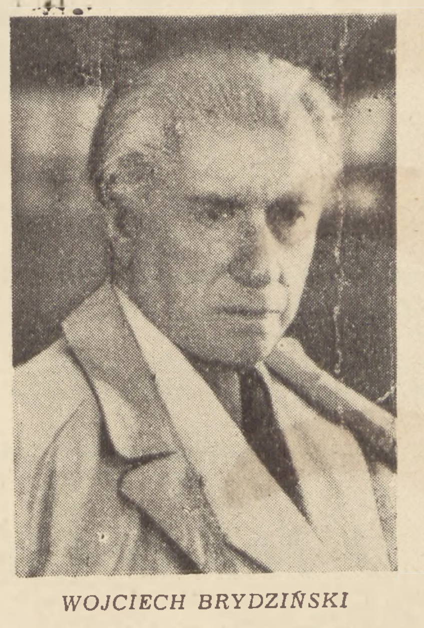
W Mińsku wielkim powodzeniem cieszy się przedstawienie opery St. Moniuszki „Straszny dwór". Libretto tej opery zostało przetłumaczone przez znanego poetę białoruskiego, M. Tanka.

„TIEATR" O „BUNCIE ŻAKÓW" SZELIGOWSKIEGO I BRANDSTAETTERA

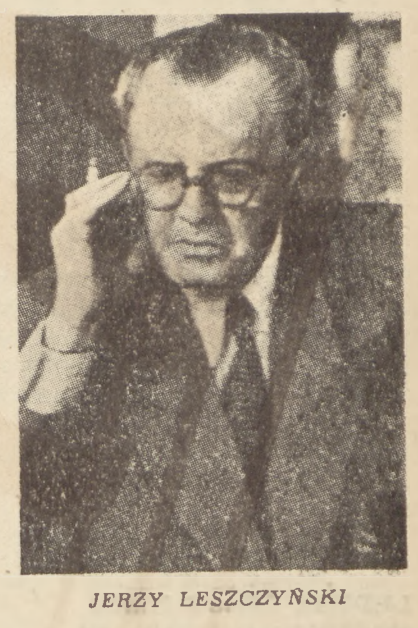
W n-rze 5-tym czasopisma „Tieatr" r. b. ukazała się notaka poświęcona „Buntowi Żaków". Autor omawia motywy akcji, wyjaśnia termin „żacy" i ocenia pozytywnie premierę wrocławskiej opery. Pisząc o jej walorach artystycznych stwierdza:

„Librecista i kompozytor pokazali bunt żaków na szerokim, historycznym tle... W muzyce szeroko wyzyskano polskie ludowe melodie i wątki muzyczne".

JUBILEUSZ DWU WYBITNYCH ARTYSTÓW



WOJCIECH BRYDZIŃSKI



JERZY LESZCZYŃSKI

znakomity artysta scen polskich — w 75 rocznicę urodzin został udekorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Dekoracji artysty dokonał wiceminister W. Sokorski podczas uroczystego przedstawienia sztuki — L. Rachmanowa „Niespokojna starość" z W. Brydzińskim w roli głównego bohatera — prof. Poleżajewa.

Na przedstawieniu byli obecni m. in. Marszałek Sejmu Wł. Kowalski i przedstawiciele Rządu. Prezes Rady Ministrów J. Cyrankiewicz przesłał solenizantowi życzenia listowne podkreślając, że kilkudziesięcioletnia praca artysty, oparta n~ najlepszych tradycjach sceny polskiej, oraz jego osobista postawa są nieprzemijającymi wartościami w historii sceny narodowej i wzorem dla aktorstwa polskiego. Serdeczne życzenia złożyli solenizantowi M. Wyrzykowski — jako dawny uczeń W. Brydzińskiego, i reprezentant SPATiF-u oraz delegacja załogi FSO na Żeraniu.

W dniu 12 b m. w Państwowym Teatrze Polskim odbył się pod protektoratem ministra Kultury i Sztuki Stefana Dybowskiego obchód 50-lecia pracy artystycznej znakomitego artysty dramatycznego — Jerzego Leszczyńskiego.

Uroczystość jubileuszowa połączona była z prapremierą „Lalki" B. Prusa, w opracowaniu scenicznym Z Leśnodorskiego, w reżyserii i inscenizacji B. Dąbrowskiego. W sztuce tej jubilat grał rolę Tomasza Łęckiego.

Minister Kultury i Sztuki St. Dybowski udekorował jubilata Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Serdeczne życzenia znakomitemu artyście złożyli następnie: przewodniczący SPATiF L. Schiller, dyrektor Państw. Teatru Polskiego B. Dąbrowski, rektor Państw. Wyższej Szkoły Teatralnej J. Kreczmar, przedstawiciel Państw. Fabryki Traktorów „Ursus" Jaworski oraz delegacje artystów teatrów warszawskich i prowincjonalnych.

Z TYGODNIA

Z KRAJU

AUTOR „BIEGU DO FRAGALA" WYDALONY Z WŁOCH

Dnia 8 lipca przybył do Warszawy tow. Julian Stryjkowski, wydalony przez rząd włoski w ciągu 24 godzin poza granice Włoch. Bezpośrednią przyczyną tego faktu jest świetna książka Stryjkowskiego „Bieg do Fragala" — tłumaczona obecnie na język włoski — której treść stanowi walka o ziemię prowadzona przez chłopów Kalabrii.

24 czerwca w Rzymie odbył się wieczór autorski Stryjkowskiego, na który przybyli liczni przedstawiciele włoskiego świata nauki i sztuki. Nazajutrz dzienniki „Unita", „Avanti" i „Paese" zamieściły przychylne wzmianki na temat tego wieczoru i samej książki, a 26 czerwca został podpisany nakaz wysiedlenia autora „Biegu do Fragala".

SPRAWIE BADAŃ NAD SZTUKĄ POLSKĄ EPOKI ODRODZENIA

była poświęcona ogólnopolska konferencja naukowa historyków sztuki, którą zorganizowano ostatnio w Kielcach. Zadaniem konferencji było wydobycie rodzimego nurtu sztuki renesansowej i podkreślenie jej znaczenia dla rozwoju współczesnej sztuki w Polsce.

Inauguracyjny referat pt. „Poglądy polskich pisarzy epoki humanizmu na sztukę" wygłosił prof dr W. Tomkiewicz, referat „Rodzima twórczość w badaniach nad polskim renesansem" — dr K. Piwocki, „Polska kultura mieszczańska pierwszej połowy XVII wieku" — dr St Herbst, „Zabytki reformacji w Kielecczyźnie" — dr T. Przypkowski, „Architektura kościelna w latach 1580 — 1650" — mgr J. Łoziński, „Zagadnienia architektury renesansu w Polsce" — dr J. Szablowski, „Rzeźba nagrobkowa w Polsce w XVI i XVII wieku" — dr Z. Harnung, „Wielkopolska rzeźba monumentalna w pierwszej połowie XVII w." — dr. St. Wiliński, „Małopolskie warsztaty architektoniczne i rzeźbiarskie na przełomie XVI i XVII w." — dr Z. Rawski, „Związki architektury, rzeźby i malarstwa monumentalnego w polskiej sztuce Odrodzenia" — dr B Urbanowicz. Ponadto 18 naukowców wygłosiło krótsze prelekcje.

Obrady i dyskusje podsumował dyr. Państw Inst. Sztuki dr J Starzyński. — Przemówienie wygłosił również wicemin. W. Sokorski. W drugim etapie prac badawczych uczestnicy konferencji udali się autokarami na objazd po Kielecczyźnie, podczas którego bliżej zapoznali się z najważniejszymi zabytkami epoki renesansu w regionie świętokrzyskim

ZA GRANICĄ

„NOWY WYPADEK WANDALIZMU W SALONIE MŁODYCH RZEŹBIARZY"

„Les Lettres Francaises" z dnia 20 — 27 VI b r donoszą:

„W czerwcu Salon Młodych Rzeźbiarzy w Muzeum Rodin zorganizował wystawę, gdzie, obok prac starszych artystów, ukazały się dzieła młodych Całość dawała dość dokładny obraz nowoczesnego rzeźbiarstwa.

Wystawa spotkała się z dużym powodzeniem, gdy nagle zdarzył się wypadek, który trzeba nazwać prawdziwą zbrodnią. Mianowicie — powalono na ziemię i połamano w kawałki dwa spośród wystawionych dzieł: rzeźbę „Henri Martin" dłuta Georges Salendre'a i „Riposte" Jean Damiano.

Odbyło się to w następujący sposób: nocą z 11 na 12 czerwca kilku osobników wyważyło bramę budynku sąsiadującego z ogrodem Muzeum, przeszło pr ez ogrodzenie i dostało się do rzeźb, które zniszczyli, mimo że były przymocowane do ziemi żelaznymi hakami.

Wypadek ten wiąże się z innym, jaki niedawno miał miejsce w Lyonie, gdzie chuliganeria zniszczyła w podobny sposób popiersie Henri Martina, również dłuta rzeźbiarza Salendre".

„Lettres Francaises" przytacza teksty licznych protestów przeciwko temu nowemu zamachowi na wolność obywatelską w zmarszalizowanej Francji. Protest Komitetu Wystawy podpisali: Denis Chevalier, Pierre Descarques, Jean Arp, Beathy, Dideron, Marcel Gili, Emili Gilioli, Jacque Gestalder, René Leleu, Etienne Martin, Joseph Rivière, Stahly, Veysset, Volti, Hubert Yencesse i rzeźbiarz Marcel Gimond.

ZESPÓŁ ARTYSTÓW FRANCUSKICH TEATRU „AMBIGU"

po występach w Warszawie — wystawił sztukę „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" w Krakowie. Artyści francuscy poza Krakowem zwiedzili Nową Hutę, muzeum w Oświęcimiu i Zakopane.

Jasio tłumaczy, że z daleka,
że druga podróż — to i koszt,
i czas — a przecież praca czeka,
że to jest niespołeczne wprost.

Tu młody kacyk rozwarł buzię:
„Ja niespołeczny?! Ja, ja, ja?!" —
I z całych sił na Jasia huzia,
darł się, wymyślał przez pół dnia.

Jaś miał ochotę rzec — chuligan!
Ale pomyślał — „Jestem kiep.
Gdyby nim był — już dawno by go
wylali stąd na zbity łeb!".

VIII

Park Wilanowski — Jaś z pietyzmem
ogląda przeszłość swej ojczyzny.
Wazy, obrazy, złoto, marmur —
z podziwu na twarz bije żar mu.

Tu się na jakąś rzeźbę gapi,
tu znowu na łaciński napis.
Lecz nagle — Jaś już myśli, że śni —
napis uderza go współczesny:

„Jaś Trzeci ładną miał Marysię,
lecz nie zrównała z moją by się".
A w innym miejscu: „Kupa mięci
Kundzia i Romek z Byczych Chęcin".

Jasio oniemiał — bo ten Romek
to jego dobry był znajomek,
który, jak twierdził sam, w kulturze
swojsko się czuł jak inni w biurze.

„Ach, za ten napis, za te rzeźby
ten Romek z Kundzią bodaj sczezłby
chuligan jeden!" — wtrącił ktoś się.
A Jasio na to z pasją w głosie:

„Romek chuligan? — Co za nonsens!
Toż na kulturze świetnie on się



zna. I przypuszczam, że już bardziej
chamstwem od niego nikt nie gardzi".

IX

Ledwie to wyrzekł, ujrzał coś, co
mrozem powiało mu po kościach.
Tak. To jest okaz ten, co wygasł:
bikiniarz, bażant i chuligan!

Był w kolorową kurtkę odzian.
„O — myśli Jasio — jest samodział!"
Krawat miał ładny, lecz Jaś przywykł
już do kolorów nie tak żywych.

Jaś poczuł w sercu radość nagłą.
„Mam chuligana!" — krzyknął na głos.
Aż zaczepiony tak zuchwale
zdumiał się gość ów w samodziale.

I rzekł: „Jak pan na pomysł wpadł ten?
Jestem skąd inąd literatem
i chuliganem nie zwał nikt mnie".
„A ten samodział?!" — Jaś wykrzyknie.

„Chłopcze — rzekł na to ów literat —
pozwól mi barwniej się ubierać
i nie odsądzaj mnie od czci wnet,
że moje gusta twym przeciwne.

Dlaczego barwny strój czy szalik
ma nam w pacht zabrać imperializm? —
Przecież nasz ustrój nie zabrania
kolorowego ubierania!



Degeneratom na zachodzie
przeciwstawimy własną odzież
barwną i piękną.
Wykpić? — Dobra!
Lecz przy tym — pozytywny program!"

X

„Czemu więc, czemu — Jaś zaryczy —
inaczej piszą satyrycy,
czemu stanowi wieczny żer ich
wyłącznie problem galanterii?!"

„Spokojnie, Jasiu — pisarz odrzekł —
że o tym piszą — czynią dobrze,
bażant bowiem — to przedstawiciel
yankesowskiego stylu życia.

A przecież wiemy, że ten styl ich
to nie sam taniec i tekstylia:
kto dziś hołduje kaczym kuprom,
może być płatnym szpiegiem jutro.

Niechaj więc piszą o odzieży
bo tak jest słusznie, tak należy,
lecz pamiętają niech poza tym,
że medal drugą stronę ma też.

Niech mówią nam, że ten i ów drań
może mieć masę różnych ubrań,
że — często bywa — prócz ubrania
jeszcze i funkcja go osłania.

Gdy to w satyrze znajdzie wyraz,
spełni zadanie swe satyra.
Lecz nim nastąpi to — my sami
walczmy bez przerwy z łobuzami".

„Racja — rzekł Jaś — bo również po to
na Zlocie tylu młodych jest tu,
by z wszelkim draństwem i hołotą
rozprawić wreszcie się do reszty.

Dwieście tysięcy nas zebranych,
a kraj za nami stoi murem,
i nie ukryje chuliganów
żadne przebranie żadna skóra".

Z czapki-niewidki wrogi czerep
obnażyć wzgardą, pieśnią walić!
Mocniej, koledzy, zewrzeć szereg,
Za kraj! Za pokój! Za socjalizm!



LUDWIK JERZY KERN
MACIEJ SŁOMCZYŃSKI

Ilustr. Andrzej Stopka

NIE PRZYJECHALI...

Wiatr w chorągwiach zamieszkał, czerwień i błękit potrąca,
Ulicą kroki kołyszą i pieśni głos.
Idą tysiące najlepszych, a każdy najlepszy z tysiąca.
Zlot!
Zlot!
Zlot!
Nad szeregami szumią szerokie szturmówek skrzydła...
....
Stój!
Wiersza tego transparent zwińmy!
Nas dziś czekają sprawy inne.
Satyryk, jeśli w pochodzie
pragnie dotrzymać kroku,
nie może w słońcu chodzić,
musi poszperać w mroku.
Dlatego właśnie będziemy pisali
o tych, którzy chcieli...
o tych, którzy mieli...
pojechać, a nie pojechali.

CZY MARKIEWICZ ZNOCKAUTOWAŁ PRUSA?

O Franku nawet w „Sporcie" pisali,
że „wielki talent na widnokręgu",
bo skoczył sześć osiemdziesiąt dwa w dal
podczas ostatnich mistrzostw okręgu.
W ogóle, Franek to duma szkoły,
dobry kolega, miły, wesoły,
nigdy nie kłamie, czysty jak szkło,
wciąż szkoli innych na SPO.
Czy na treningu, czy na zawodach,
każdemu radę jak rękę poda.
I przodownikiem jest Fiz. Kultury...
— Więc go wybierzmy na Zlot, kolego!
— Niestety. Franek nie zdał matury.
Oblał sromotnie, i to z polskiego.

*

Jak to się stało? Dlaczego?

*

Po ramie okna słońce się wspina.
Za oknem kwitną czereśnie.
Profesor wykład właśnie zaczyna
o literaturze współczesnej.

Profesor mówi: ...Bieg do Fragala...
...Twórczość... Literackie Życie...
A Franek myśli: „Rozbieg nawala
i trzeba poprawić odbicie..."

Profesor mówi: ...Słonimski... Czeszko...
Newerly najlepszy w tym roku...
A Franek: ...„Wciąż się odbijam przed deską
i tracę przy każdym skoku".

Profesor: ...dawniej forma bez życia...
...poezja w wymyślnych rymach...

Franek: ...„Po pierwszej fazie odbicia
rąk trzeba pogłębić wymach,
a wtedy może... kiedyś... jak Owens...,
siedem i pół albo dalej...
Tylko się trzeba mocniej przyłożyć.
Nie pić. Trenować. Nie palić!
Pobiegnę kiedyś! Skok! Lądowanie!
Sędzia już taśmę przykłada!
Ogłoszą rekord w braw huraganie,
a potem — O l i m p i a d a!
I nowy rekord, i medal złoty
przywiozę Ludowej Ojczyźnie.

Profesor: Teraz kolega Franek
opowie o realizmie.

Idzie Franek do tablicy,
podchodzi, staje i... milczy.
W główinie huczy, w główinie szumi.
Nie wie, gdzie jest, i nie rozumie:
Czy Potrzebowski pisuje heksametrem?
Czy Stryjkowski spuchł przed ostatnim kilometrem?
Czy Ważyk robi to, co Ważny?
Czy Hertz jest w zwarciu odważny?
Czy to nie jest przeciwne naturze,
że Mach biega i pisze w „Nowej Kulturze"?
Czy Parandowski startował dawniej, czy teraz?
Czy Machejek to chorągiewka startera?
Czy Wirpsza ma mandalian olimpijski złoty?
Czy to, czym się gra w hokeja na trawie, to są te lasoty?
Czy Jastrun to tenisowy naciąg?

nożyce

Czy Maciąg na bramkę ma ciąg?
Czy Iwaszkiewicz nie powtórzy swych wyników?
Czy Kruczkowski poprawia styl innych zawodników?
Czy Andrzejewski skacze z wieży?
Czy Timofiejew i Gołubiew to radzieccy trenerzy?
Czy Rudnicki Adolf wiosłuje bez sternika?
A jeśli tak, to czy coś z tego wynika?
Czy Markiewicz znockoutował Prusa?
Czy Rolleczek to takie wrotki z USA?
Czy Sokorski to mistrz kombinacji?
Czy Nałkowska — wciąż do reprezentacji?
Czy Iłwicka ma na imię Melania?
Czy paukszta to coś, czego regulamin sportowy zabrania?
Czy Kazimierz Hoffman napisał „Samsona" z Marianem bratem?
Czy socrealizm można ćwiczyć latem?
Czy putrament to przyrząd gimnastyczny?
Czy pasternak jest sportem, czy grą towarzyską?
Czy Kiszka jest liryczny, czy epiczny?...



Miesza się we Franka głowie wszystko.
Stoi Franek przy tablicy.
Stoi, stoi i milczy.
Jedno tylko zrozumiał w lot:
„Nic nie umiem. Nie zdam matury. Nie pojadę na Zlot".

A morał z tego taki, kolego:
MISTRZ POLSKI NIE MOŻE MIEĆ DWÓI Z POLSKIEGO.

WITOLD DĄBROWSKI

List mistrza François Villona do młodych wierszopisów

Bracia po rymie a po piórze,
Piszę dziś do was epistołę,
Bo trudno mi iuż milczeć dłużey
Myśli hoduiąc niewesołe,
Do was, których to poczet długi
Nazywam w liście tym z imienia
(Patrz, czytelniku, w strofie drugiej),
Y do was, których nie wymieniam,
Myślę zaś patrząc nieustannie
Na wiersze, które wy tworzycie,
Co się z literaturą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie.

Do ciebie piszę, cny Wiktorze,
Y ty, Andrzeiu miły, który
Ciężko pracuiąc w metaforze
Spinasz się do literatury,
Y ty, Henryku, ty, Wiesławie
(Czemuż podobni tak iesteśta
Iak krople ranney rosy w trawie,
Iak krople wody w waszych textach?)
A także y do ciebie, Ianie,
Co rymy wiążesz pracowicie —
Cóż się z literaturą stanie
Ieżeli się nie poprawicie.

Poezya to nielada twierdza,
By wziąć ią, dobrey trzeba głowy
(Ten to axiomat móy potwierdza
Doświadczeń rząd wielowiekowy):
Wiedzcie — poezya to nie powieść,
A nayważnieysze zasię to w niey,
Ze każda myśl, niżeli w mowie
Wypowiedziana iest kunsztowniey,
Y że ta myśl za tomy stanie...
A wy, naymilsi, iak czynicie?
Cóż się z literaturą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie.

Item, do serca sobie weźcie
Słowa, którem tu do was skryślił:
Poezya tkwi nie w anapeście
Y nie w trocheiu, ale w myśli;
By mądrze rzec, nauki trzeba —
Exemplum macie na Villonie:
Nimem iął pisać z woli nieba,
Com nawycierał ław w Sorbonie!..
Gdy maiąc dwa rymiątka tanie
Treść ubożuchną w nie tłoczycie,
Cóż się z literaturą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie

A śmieley! Trzebaż wam przypomnieć
Reya, Biernata, Ostroroga,
Prawie rówiennych mi (i o mnie
Nie przepomnieycie tam, dla Boga!);
Bo ieśli iak za panią matką
Iedno powtarzać wciąż będziecie
Strofką tą samą, grzeczną, gładką,
(A nie przystoi to poecie!)
Surowiey ieszcze wam przyganię,
Przedsię, iak mniemam, należycie —
Cóż się z literaturą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie.

Patrząc, iak naród xięgi chwyta,
Gdy spod drukarskiey wyjdą prasy,
Iak ie szanuie, iak ie czyta
(Pomnę, nie takie były czasy
Gdym żył — wszak nieraz mnie w ciemnicy
Na chleb i wodę zatrzaśniono)
Dziś, widzę, wasi czytelnicy
Lepsi od waszych wierszy pono;
Zatem postawię wam pytanie:
Przez ciepłym mleczkiem ich karmicie?
Cóż się z literaturą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie.

PRZESŁANIE

Wybaczcie, bracia, to przesłanie
Y zrozumieycie należycie:
Cóż się ze sławą waszą stanie,
Ieżeli się nie poprawicie.

opublikował **Witold Dąbrowski**



Według wzrostu *Rys. Ibis*

PRZY WYBORACH DELEGATÓW NA ZLOT, KOLEŻANKA MÓWI:

Co? Taki fason był między wami,
taka kretyńska, szczeniacka poza?
Wiesz co? Nie tłumacz się lepiej, zamilcz!
I zapamiętaj, że tak nie można.

To ma być dowcip krzyczeć: „Te, Zocha!"
albo wstążki wydzierać z włosów?
Pewnie, że chcemy, żebyś się kochał,
ale nie w każdej i nie w ten sposób.

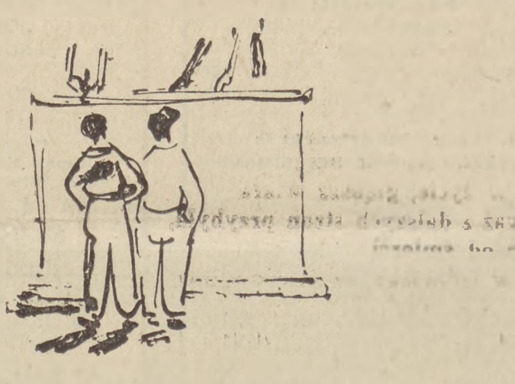
Noc nie jest po to, by wyć po parkach
i dziewczęta w ulicach straszyć.
Tak nie przodownik robi, lecz smarkacz,
z innych czasów egzemplarz, nie z naszych.

My cóż, trudno, stwierdzamy z żalem,
jesteśmy upośledzeni:
twego „dowcipu", twych „męskich" zalet
nie jesteśmy w stanie docenić.

Nam jakoś tak dziwnie się zdaje,
że będzie korzystniej i lepiej,
gdy dziewcząt na Zlocie w Warszawie
żaden „frajer" nie zaczepi i nie poklepie.

ROZMYŚLANIA SŁUSZNE

Oni chodzą teraz po Alejach,
po mostach, po Warszawie całej.
Ja też bym chodził z nimi, gdyby nie to, że ja
po prostu nie pojechałem.



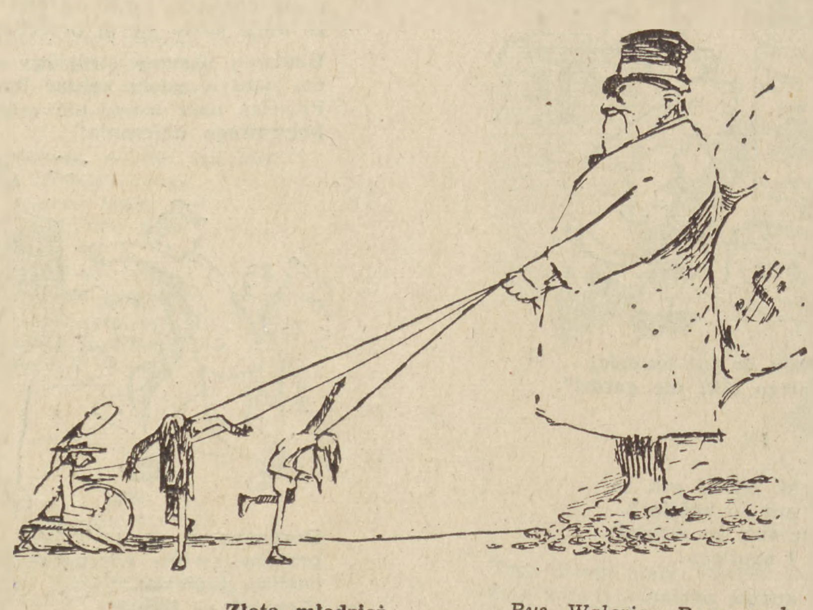
Teraz wiercę się w łóżku, otoczony nocą,
sen spod powiek ucieka i krąży.
Chciałbym zerwać się, pobiec. Ale to nonsens. Po co?
Niemożliwe już, żebym zdążył.

Coraz jaśniej się robi, księżyc na szybie stanął
i oświetla mój mały pokój:
na ten pociąg warszawski, który odszedł dziś rano
ja spóźniałem się prawie od roku.

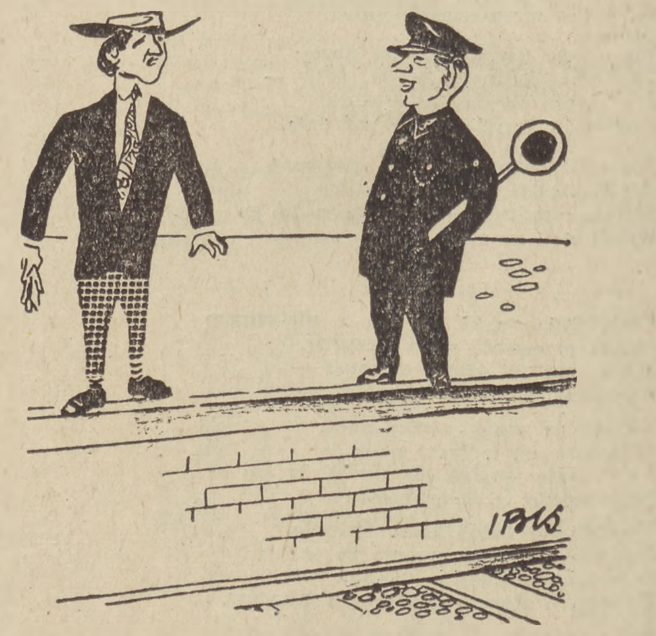
Jakże to się zaczyna? Pomyśl chwilę. Odpowiedz.
Czasu sporo przecież masz teraz...
To się chyba zaczyna wtedy, gdy zetempowiec
życia szukać zaczyna w papierach.

Regularnie co tydzień odbywałem zebrania...
Brak frekwencji?... No, tak... rzeczywiście...
Notowałem dokładnie wszystko w mych sprawozdaniach...
A jak Koło? No, źle... oczywiście...

Nie, doprawdy inaczej wszystko teraz wygląda,
kiedy w łóżku bezsennie się leży —
Mieli rację, że mnie tak rozstawili po kątach
za ten roczny mój kult dla papierzysk.



Złota młodzież *Rys. Walerian Borowczyk*



Rys. Ibis

— „Pociąg na Zlot już odszedł. Spóźnił się pan o parę... lat!"

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa ul Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80 wewn 95 oraz bezpośredni 7-36 23 Adres administracji W wa ul Wiejska 12 tel 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch" Oddz w Warszawie ul Srebrna 12 tel 804-20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—. rocznie zł 48 —. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO 1-15230.
Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy powyżej 10 egzemplarzy – ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW Prasa", W-wa. Poznańska 38. konto PKO 1-5589 111. tel. 7-38 05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3 B-22457